



Michał Cholewa "Na granicy"

Jak zapewne czytelnicy pamiętają, od pierwszego do dwudziestego czwartego grudnia trwał Whamageddon - czyli adwentowa gra w nieusłyszenie (oryginalnej wersji) piosenki „Last Christmas”. W zabawę włączył się ponownie Michał Cholewa, który dzień w dzień raczył swoich odbiorców niesamowitą opowieścią. Autor pomyślnie dotrwał do końca, zarówno zabawy, jak i wymyślonej historii.

Podobnie, jak w zeszłym roku, w ostatni dzień 2022 Fahrenheit przedstawia cały, dwudziestoczteroczęściowy utwór.

Kto wie, może właśnie jesteśmy świadkami narodzin nowej, świeckiej tradycji...



1. Opuszczaliśmy Nadell późno, kiedy końcówka jesieni smagała już śniegiem z deszczem, a tutejsze piękne nadrzeczne równiny, i tak podmokłe po paskudnym lecie, zamieniły się w istne bagna. Wyjeżdżaliśmy bez żalu, ale i bez pieniędzy. Krótka, i w zamierzeniu, dochodowa wojenka między lokalnymi książętami zamieniła się w siedmiomiesięczną, skąpaną w deszczach kampanię, w której łupów było mało, za to krwi, brudu i błota - pod dostatkiem. Straciliśmy ludzi, większość koni i sporo zapasów, a marne pieniądze, które wypłacił nam książę de Wilde, ledwo pokryły wydatki i bardzo niski żołd - nawet zważywszy, że stan osobowy Kruków uszczuplił się prawie o jedną czwartą.

Takie są właśnie przywileje walki po przegranej stronie, psiamać.

Nie chcieliśmy zostawać tu ani chwili dłużej, a patrząc po twarzach mijanych na drodze ku portowi mieszkańców, oni też nas tu nie chcieli, mimo że nieraz de Wilde wykorzystywał Kruki, by osłaniały okoliczne miasteczka. Pewnie znalazłoby się w tłumie całkiem sporo takich, którzy zawdzięczali nam dach nad głową, a może i więcej. Jednak nawet teraz, gdy wchodziliśmy na pokład starego, rozklekotanego holku - pod cholernie mylącą nazwą „Śmigły” - który przez burzliwe morze miał zabrać oddział do Vidii, widzieliśmy ponure spojrzenia miejscowych, obserwujących nas w świetle szarego, dżdżystego poranka.

Cóż, trudno było się im dziwić. Najemnik wszędzie jest obcy, nigdzie swój. Niebezpieczny, uzbrojony, nawykły do zabijania. A co dopiero cała kompania! Dla poddanych de Wilde'a byliśmy po prostu

zbojami, chwilowo przekupionymi, żeby łupili innych. Pewnie większość bała się, że za kilka dni możemy już być w służbie nowego pana i zwrócić się przeciwko nim. Mało kto wyznaje się na najemniczych zasadach, a wszyscy na wszelki wypadek wolą spodziewać się po nam podobnych najgorszego. Zawsze tak było, jest i będzie. Już dawno przestało nas to zaskakiwać.

Kiedy przeszedłem po trapie przerzuconym nad prawie czarną wodą basenu portowego, obejrzałem się po raz ostatni na Nadell, mając szczerą nadzieję, że nie zobaczę już tego miejsca. Myślałem tylko o zimowaniu, o zapadnięciu w jakimś ciepłym miejscu, gdzie układy Kapitana, wsparte naszymi skromnymi środkami, zapewnią oddziałowi jako takie warunki - miejsce do spania, ciepłe żarcie, a jak dobrze pójdzie, to może i gorzałkę na rozgrzanie wieczorów. To miała być licha zima, fakt, ale jednak zima. W tej chwili wiedziałem, że widoków na zarobek nie ma żadnych i że każde miejsce jest lepsze niż podmokłe ziemie księcia de Wilde, pełne końskich trupów, krwi i płytkich grobów.

W obu przypadkach - sromotnie się pomyliłem.

2. Rejs mieliśmy paskudnie ciężki. Kiedy tylko „Śmigły” wyszedł w morze, to, co było nieprzyjemnym dżdżem, rozhulało się w prawdziwy późnojesienny sztorm, taki z ulewą, wichurą i falami tak wysokimi, że przelewały się przez burtę i zalewały pokład. Nasz rozsypujący się holk szedł przez to piekło, chwiejnie i niebezpiecznie przetaczając się z boku na bok, a ciągłe skrzypienie i trzaski budziły nie tylko we mnie rosnące przekonanie, że cholerna krypa lada moment zamieni się w stertę luźnych desek. Chodzić po pokładzie w ogóle się nie dało. Po ładowni, w której mieszkaliśmy, też w zasadzie nie. O jedzeniu nikt nie chciał nawet słyszeć. Ci, którzy nie chorowali, siedzieli z ponurymi minami na deskach, starając się czymś zabić czas i nie zwracać uwagi na paskudny, mdlący odór całej reszty.

Kapitan, nasz skarbnik Literka, medyk Łata i szaman Shav'naz - cała kadra oficerska kompanii - zebrali się w przedniej części statku. Staremu postawiono tam stół i liche przepierzenie oraz zawieszono trzy latarnie sztormowe. Teraz, siedząc w ciemności pomiędzy ponurą i milczącą Daraelą a wyraźnie wściekłym na własne mdłości Sierrą, mogłem obserwować chyboczące się na tym przepierzeniu cienie naszej starszej kadry, intensywnie nad czymś radzącej. Literka jakimś sposobem stał nawet na obu nogach, co w tych warunkach - zwłaszcza dla chudego rachmistrza - wydawało się niemożliwe.

- Myśli pan, że dokąd płyniemy, panie sierżancie? - zapytał Cast, nie odrywając wzroku od skrobanego nożem drewnianego ludzika. - Faktycznie do Vidii?

- Tak - odparłem bez namysłu. - Raz, że blisko, dwa, że kapitan sam jest Vidyjczykiem, więc tam ma najwięcej znajomości. No i trzy, że się robota na wiosnę w Vidii kroi.

- Wojna domowa - prychnął Sierra, tak blady od choroby morskiej, że widać to było nawet w mroku ładowni. - Brudny interes.

- Jaka tam wojna domowa, powstanie raczej. - Machnąłem ręką. - I to niezbyt wielkie, bo samo Algrath jest przecież malutkie. Pewnie już by było po sprawie, ale wszystko zaczęło się wczesną jesienią, a Vidia nie chce pchać wojska przez góry po pierwszych śniegach.

- No to jaka robota, jak wszystko to jak splunięcie? - Cast uniósł wzrok znad struganej drewnianej figurki. W półmroku zabłysło, odbite od białek oczu, światło latarni sztormowej.

- Najemnicy do takich spraw najlepsi - odezwała się pierwszy raz Daraela. - Jak zaciężnych na powstańców wyślesz, to nigdy nie wiesz, czy przypadkiem kuzynów naprzeciw siebie nie postawisz... albo i gorzej. Obcy są pewniejsi.

- Dość słownie pierwszy raz słyse, że ktoś ma obcych za lepszych do czegośkolwiek. - Sierra chciał się zaśmiać, ale zamiast tego złapał się za usta i odpełził kilka kroków dalej. Za chwilę dobiegły stamtąd charczenie i kaszel.

- Znaczy się na wiosnę od razu do pracy? - Cast całkowicie zignorował wydawane przez nożownika odgłosy.

- Pewnie tak - odparłem. - Rok był słaby, zima będzie chuda, to może lepiej od razu po śniegach za jakieś zarabianie się brać?

- Może...

- A ja myślę, że coś się kroi.

- Dlaczego?

- Kapitan zabrał na naradę szamana.

Spojrzałem jeszcze raz na widoczne na przepierzeniu spotkanie rozchwybotanych cieni. To, że Kapitan radził przed zimą z Literką, nie dziwiło. Ale co do Shav'naza było rzeczywiście inaczej. Szaman rzadko brał udział w naradach - chyba że potrzebowano akurat jego umiejętności. Zwykle trzymał się na uboczu i mało z kim gadał, zresztą ku uldze reszty kompanii. Magia i gusła to niebezpieczne sprawy, a ci, którzy je praktykują, zawsze sprawiają wrażenie, jakby jedną nogą już stali po stronie demonów. Przy rozmowie o tym, gdzie zatrzymamy się na zimę, raczej spodziewałbym się Hageny albo pozostałych podoficerów. Daraela miała rację, Shav'naz przy naradzie mógł oznaczać problemy.

- Kapitan wie, co robi.

- Nie mówię, że nie - nasza najlepsza kuszniczka spojrzała na mnie nieruchomymi jak u polującego kota, oczami. - Mówię, że mogą być z tego kłopoty.

Właśnie wtedy, jakby dla podkreślenia jej słów, w burtę „Śmigłego” uderzyła paskudnie wielka fala. Trzasnęły deski, ktoś zaklął, kilka osób zachwiało się i upadło na pokład. Rozległy się pełne pretensji krzyki, kiedy zataczający się żołnierze wpadli w ulubiony kąt chorujących, ale zostały one szybko zagłuszone przez czyjś donośny wrzask.

- Toniemy!

Pod pokład holku zaczęły wlewać się czarne, lodowate fale. Kilku naszych zaczęło wrzeszczeć, powtarzane słowa „toniemy” i „zguba!” poniosły się w ciemność. Ktoś skarżył się, że nie umie pływać, inni próbowali uciekać na pokład. Zanim jednak zapanował kompletny chaos, do akcji weszli pierwsi podoficerowie - rozpoznałem bas Byka, zgrzytający, nieprzyjemny głos Talimana zwanego Medalikiem oraz niezbyt wyszukane przekleństwa Rasta.

- Trzecia dziesiątka, zbiórka! - Również i ja wrzasnąłem na swoich, ale na szczęście ci tego w ogóle nie potrzebowali. Cast ciągnął już Sierrę i Moirę, a Daraela stała, balansując pewnie na tańczącym pokładzie. Wstawali Mały Percy, Alyssa i Kurt, słyshałem też narzekania Barnetta.

Krzyki podoficerów powoli ustawiały Kruczą Kompanię do pionu. Wreszcie, przy akompaniamencie przekleństw i kopniaków, rodząca się panika została zamieniona w - pełen narzekania, ale jednak - porządek. Trzy minuty zajęło ściągnięcie pod pokład drugiego oficera „Śmigłego”. Dalsze dwie - zorientowanie się, że nie toniemy, a nabieramy wody, co (zdaje się) różni się od prawdziwego tonięcia wyłącznie tempem. Dalszy kwadrans zużyliśmy na nieskuteczne uruchomienie pompy, a

resztę nocy - stojąc po kostki w lodowatej wodzie i podając sobie wiadra.

Niepokojące myśli zniknęły, zastąpione ciężką, monotonną pracą. Wróciły dopiero następnego dnia, kiedy „Śmigły”, przechylony na burtę i wyglądający jeszcze gorzej niż kiedy wychodził w morze, dowlókł się z nami do celu podróży.

3. Łąd zauważył któryś z majtków w połowie dnia, choć przyznaję, że nie mam pojęcia, jak go wypatrzył przez gęsty deszcz. Z całej mojej dziesiątki tylko Daraela miała wrażenie, że chyba faktycznie widać ciemne zarysy. Dopiero wieczorem zyskaliśmy pewność, a i to głównie przez światła latarni morskiej, migocącej blado gdzieś z mroku przed dziobem „Śmigłego”. Wiadomość rozeszła się po kompanii z szybkością błyskawicy i została powitana z entuzjazmem, a przynajmniej tą jego imitacją, jaką dopuszczało zmęczenie i mdłości. Kilka osób wypełzło nawet na pokład, żeby nacieszyć się widokiem, kilka innych donośnie skłęło „Śmigłego”, jego załogę i sztorm. Trzeba przyznać, że faktycznie, o ile dalece nie był to pierwszy raz, kiedy kompania robiła morskie przejście na jesieni, tak paskudnego nie mieliśmy od dawna. No, ale miało się to wreszcie skończyć.

Do brzegu dobiliśmy dopiero nocą. Nie było to oczywiście nabrzeże wielkiego portu Lantis, perły widyjskich miast, ale jakieś małe, ponure miasto, przy którego nabrzeżach „Śmigły” był prawdopodobnie największym statkiem. Niejeden z naszych zaklął szpetnie, gdy zobaczyliśmy rzadko rozmieszczone latarnie i chwiejące się na falach rybackie kutry wypełniające basen portowy. W trzeciej dziesiątce najbardziej narzekał jak zwykle Sierra.

- Będziemy zimować tutaj? - powiedział ponuro, kiedy tylko poczuł twardy grunt pod nogami.

- A gdzie chciałeś? - Cast spojrzął na nożownika. - Jesteśmy biedni, pamiętasz? Lantis i cała reszta są dla tych kompanii, którym się udało. Dla nas... jest to, cokolwiek to jest.

- Grunt, że na łądzie - skwitowała Moira, szczelniej owijając się płaszczem.

Wybrałem trzech, którzy wyglądali na najmniej martwych i posłałem ich po przydzielony nam ładunek - kompanie piechoty, niestety, cały swój dobytek noszą na plecach.

Nie zaskoczyło nas, że byliśmy oczekiwani. Miasto nie wyglądało na duże i niemal setka zbrojnych natychmiast wzbudziła zainteresowanie lokalnego garnizonu. Żołnierze, którzy otoczyli nadbrzeże, byli zaskakująco dobrze przygotowani do walki i zdeterminowani. Ich oficer, który wyszedł na spotkanie Kapitanowi oraz prezentującym się teraz najlepiej Hagenowi i Bykowi, też nie wyglądał na przestraszonego. Nie słyszałem krótkiej rozmowy, jaką odbyli, przypuszczałem natomiast, co było jej treścią - dlatego nie zdziwiłem się ani trochę, kiedy zza linii wojska wyjechał wóz i Kapitan kazał nam złożyć na niego broń. Tak to w końcu zwykle bywało. Nie byłem też zdziwiony, że dwie kolumny wojska towarzyszyły nam aż do magazynu za murami miasta, gdzie podobno mieliśmy kwaterować. Zaskoczyła mnie natomiast chorągiew, którą rozciągnięto nad bramami, słabo oświetlona blaskiem ukrytych pod zadaszeniem pochodni. Nie przedstawiała ona bowiem znajomego smoka i korony Vidii - co więcej, nie pokazywała niczego, co kojarzyło mi się z czymkolwiek.

Teraz, kiedy się nad tym zastanowiłem, uświadomiłem sobie, że podobne flagi zdobiły też wejście do portu i tarczę, którą nosił oficer, choć ludzie mówili tu zdecydowanie po widyjsku, a przecież żaden oficer o zdrowych zmysłach nie zrezygnowałby z noszenia symbolu imperium.

- Co się dziwisz? - zapytał Hagen, do którego przyszedłem ze znaleźnikiem. Starszy już mężczyzna, dowódca pierwszej dziesiątki, spojrzął na mnie z czymś, co mogło być uśmiechem, ale na jego pobliźnionej twarzy wyglądało zdecydowanie bardziej jak złośliwy grymas. - Jesteśmy dokładnie tam, gdzie mieliśmy być.

- Myślałem że zimujemy w imperium. W zasadzie chyba wszyscy myśleli.

- Dlaczego? – Hagen uniósł krzaczaste brwi.

- Bo Kapitan jest stamtąd i ma tam znajomości – odparłem. – A i na wiosnę robota z powstaniem będzie.

Hagen pokiwał głową powoli, otarł grzbietem dłoni deszcz z czoła i spojrzał na magazyn, do którego się zbliżyliśmy, i gdzie czekał już nasz wóz z bronią.

- Dobrze pomyślałeś i źle jednocześnie – powiedział, patrząc na mnie dziwnie swoim jedynym okiem.
- Z Vidii jest, to prawda.. Ale czy pytałeś go kiedyś, z której prowincji?

Jego słowa niemal zatrzymały mnie w miejscu. Nagle zrobiło mi się zimno, ale było to zupełnie inne zimno niż znajomy, męczący chłód jesieni i przemoknięcia. To dlatego nie kojarzyłem tutejszych chorągwi – znaków na nich przedstawionych po prostu jeszcze niedawno w ogóle nie było. Byliśmy w Algrath, w zbuntowanym Algrath, gdzie – kiedy tylko zejda śniegi – zwał się vidiańskie wojska i zmiażdżą wszystkich, którzy staną im na drodze. Kapitan zawlókł nas do walki w powstaniu, ale zupełnie inaczej, niż planowaliśmy.

Nie odezwałem się ani kiedy odbieraliśmy broń, ani gdy wchodziliśmy do – faktycznie suchego i nawet całkiem ciepłego – magazynu, ani kiedy razem z moją dziesiątką rozwijałem koce na drewnianej podłodze. Musiałem sobie wszystko poukładać w głowie, a przecież i tak w środku nocy nic nie zrobimy, nawet gdybyśmy chcieli. Następnego dnia, uznałem, pójdę do Kapitana i zapytam, co się dzieje. Teraz i tak chyba bardziej potrzebowaliśmy snu niż czegokolwiek innego.

Ale i to miało nie być mi dane. Kiedy bowiem tylko dopilnowałem, żeby moi żołnierze dostali wody i zimnego solonego mięsa, Kapitan wezwał do siebie całą kadrę na naradę.

To właśnie wtedy pierwszy raz zobaczyłem z bliska czarodzieja.

4. Dwóch mężczyzn, którzy przyszli spotkać się z nami w wydzielonym w ciemnym magazynie warsztacie, wyglądało jak pieniądze i zarazem kłopoty. Duże pieniądze. I duże kłopoty.

Pierwszy z nich, wysoki, o zwalistej sylwetce i zaskakująco sprężystych ruchach, sprawiał wrażenie oficera; w dodatku wysoko urodzonego. Spoglądał na Kapitana i na nas trochę z zainteresowaniem, a trochę z pogardą, z jaką arystokraci zwykle patrzą na najemników – jakby widział w nas dość paskudne, ale jednak, w tym wypadku, przydatne robaki.

Drugi był czarodziejem.

Wiedziałem to od pierwszej chwili, mimo że tak naprawdę w ciągu całego życia nie byłem bliżej niż sto kroków od żadnego z nich, nie licząc Shav'naza – ale szaman to jednak nie to samo. To nie tylko kwestia nienaturalnie białej skóry i chudych palców, nie chodziło też o połyskliwe, dzielące twarz na pół linie tatuażu Wieży. To było coś więcej. Miałem wrażenie, że w pomieszczeniu jest zimno i nieco ciemniej, jakby gdzieś w osobie obcego ział portal do jakiejś nieprawdopodobnie złej i pustej otchłani. Zdawało mi się, że gdzieś na granicy słuchu wyłapuję dziesiątki szeptów, mówiących w językach, których nie znałem i nie rozumiałem – ale z jakiegoś powodu bez trudu odróżniałem w nich groźby i kuszenia, obietnice i złorzeczenie. Rozejrzałem się za Shav'nazem – szaman stał za nami, przy wejściu do pomieszczenia, także czujnie obserwując czarodzieja. Z nosa powoli ściekała mu niemal czarna w półmroku krew, a opuszczone wzdłuż ciała ręce drżały z napięcia.

- Hej – burknęła cicho Czarna Vexley, opierając mi dłoń na ramieniu i popychając naprzód. – Ruszaj

tyłek.

Widziałem jednak, że i ona swoimi migdałowymi, nienaturalnie jasnymi oczami patrzy na przybysza podejrzliwie. Wskazałem ruchem głowy na szamana.

- Boi się - powiedziała z czymś pomiędzy lękiem a zaciekawieniem. - Nigdy nie widziałam, żeby...

- Ja też nie.

Kadra Kruczej Kompanii zebrała się przy szerokim stole, naprzeciwko dwójki obcych. Ten, który wyglądał na oficera, zaczekał, aż zajęliśmy miejsca i odezwał się pierwszy.

- Nazywam się Castor Permi i jestem nadsetnikiem w armii wolnego królestwa Algrath - wymówił ostatnie słowa z naciskiem, jakby chciał mieć pewność, że do wszystkich dotarło ich pełne znaczenie. - Zostałem upoważniony, aby zaprosić Kruczą Kompanię do naszego państwa, a następnie negocjować jej wynajęcie na okres jednego miesiąca, poczynając od jutra. Moją ofertą jest potrójna stawka frontowa.

Kilku z nas wymieniło szybkie spojrzenia. Algrath, jeśli faktycznie wyłamało się z imperium Vidii, zapewne nie miało pieniędzy, żeby nimi szastać. Potrójna stawka - szczególnie w połączeniu z czarodziejem - musiała oznaczać robotę naprawdę niebezpieczną.

- Wolne królestwo Algrath jest niezwykle hojne. - Kapitan wyraźnie też miał podobne przemyślenia. - Czego oczekiwaliby od nas za tak szczerą zapłatę?

Castor Permi zmierzył nas wszystkich surowym wzrokiem.

- Zdobycia wskazanej przez nas krasnoludzkiej strażnicy - powiedział. - I utrzymanie jej przez okres około dwóch tygodni.

Jeśli chciał wywołać poruszenie, nie mógł chyba wybrać mocniejszych słów - już bardziej spodziewalibyśmy się frontalnego ataku na wojska Vidii. Czarna Vexley gwałtownie wypuściła powietrze z płuc, a potem zakłęła szpetnie. Otto i Nellie pokręcili jednocześnie głowami, a Byk aż parsknął śmiechem, ale ktoś szybko go uciszył. Nawet Hagen spoglądał na przybysza z niedowierzaniem.

- Krucza Kompania nie nadaje się do samodzielnego zdobywania fortyfikacji - stwierdził spokojnie Kapitan, jakby całkowicie niewrażliwy na nasze reakcje. - Nie mamy też doświadczenia w walce z krasnoludami.

Nie dało się powiedzieć tego bardziej oględnie. Na całym kontynencie nikt nie miał doświadczenia w walce z krasnoludami. Mało kto miał w ogóle jakiegokolwiek doświadczenie z krasnoludami. Albo choćby widział jednego z nich. Mówiło się, że z niektórymi da się handlować metalami, które wydobywają spod gór. Mówiło się, że czasem schodzą w doliny i składają krwawe ofiary. Mówiło się, że w swoich podziemnych miastach wywołują demony, by im służyły. Ale nikt nie wiedział nic na pewno. Jedyne, czego byliśmy pewni, to fakt, że krasnoludy traktowały górskie pasma, szczególnie te na północy, jak swoją własność i - o ile się ich nie zaczepiało - nie szukali z ludźmi zwady.

- Zdaję sobie sprawę, że zlecenie nie jest łatwe - oznajmił spokojnie oficer. - I stąd właśnie potrójna stawka.

Kapitan popatrzył na niego spokojnym, jakby wykutym z kamienia spojrzeniem.

- Nikt nigdy nie zdobył jeszcze krasnoludzkiej strażnicy - powiedział cicho.

O ile się orientowałem, miał rację. Krasnoludy stawiały swoje fortyfikacje w górach i to na ogół w miejscach, które nie miały dobrej sławy. Nawet ich najmniejsze strażnice były w istocie twierdzami i każda - fakt, nie było ich wiele - ludzka akcja przeciwko nim, czy to jakiegoś nadmiernie ambitnego księcia, czy króla, czy samej Vidii, kończyła się dotkliwą porażką będącą pożywką dla przerażających historii o górskich demonach i straszliwych stalowych wojownikach, które powtarzano przez kolejne dziesiątki lat.

Nadsetnik spokojnie wskazał na towarzyszącego mu czarodzieja.

- I to się zmieni.

- Za pozwoleniem, panie nadsetnik. - Tym razem odezwał się Hagen, który najczęściej był pierwszym z nas do zabierania głosu. - Ale jak?

- Lord Lear - Castor Permi zmierzył wzrokiem najpierw Kapitana, ale kiedy ten nie skarcił swojego podwładnego, odezwał się do Hagen - który mi towarzyszy, w swojej łaskawości zgodził się wesprzeć Kruczą Kompanię w jej zadaniu aż do waszego bezpiecznego powrotu z gór. To o wiele więcej niż jest konieczne, by wygrać dowolną bitwę z dowolnym przeciwnikiem.

Czarodziej spojrział na Kapitana, a potem na nas oczami jakby z dna piekielnych otchłani.

- Wiem, jak zdobyć miejsce, o którym mowa - powiedział głosem przypominającym setkę szeptów, zebranych w jeden nucący obcą melodię chór. - Wiem, jak je utrzymać. I wiem, jak stamtąd odejść.

- Szlachetny lordzie - Kapitan zapytał ostrożnie - jest pan gotów nam towarzyszyć podczas całego zadania?

- Tak.

Kapitan zabębnił paznokciami o blat stołu, spoglądając na rozmówców z namysłem.

- Mogę mieć pytanie, panie nadsetniku?

- Proszę mówić.

- Dlaczego my? - zapytał nasz dowódca. - Przecież Algrath z pewnością ma o wiele pewniejsze jednostki niż Krucza Kompania. Najemnicy nie są chyba specjalnie szanowani w królewskich sztabach?

Oficer uśmiechnął się, ale bez cienia wesołości.

- Dopuszczamy myśl, że wasza akcja się nie uda - powiedział wprost. - Zawsze jest takie ryzyko. A jeśli to się wydarzy... Wolałbym, żeby krasnoludy nie powiązały ataku na swoją strażnicę z naszym królestwem. Nie jesteśmy pewni, jak zareagują.

- Mogą nas przesłuchać.

- Może mi pan wierzyć, kapitanie Veth - rozległ się upiorny szept czarodzieja. Lord Lear patrzył na naszego dowódcę pustym wzrokiem. - Niczego się nie dowiedzą.

Z jakiegoś powodu słowa te sprawiły, że zrobiło mi się nagle bardzo, ale to bardzo zimno. Hagen spojrział na nas, unosząc dłoń w samą porę, aby uspokoić już zaczynającego coś mówić Byka. Nellie

sięgnęła za pazuchę, gdzie – jak wiedziałem – trzymała kupioną w Lantis relikwię. Kapitan jednak pozostał spokojny.

- Dziękuję za szczerość – powiedział cichym głosem. – Obu panom. Jeśli pozwolicie, zastanowię się nad tą ofertą i dam wam odpowiedź w południe.

Czarodziej nawet nie drgnął. Oficer przez chwilę jakby się namyślał, a potem energicznie skinął głową.

- Czy w takim wypadku możemy porozmawiać z panem na osobności, kapitanie Veth? – zapytał Lord Lear.

Kapitan uśmiechnął się bardzo smutno i powolnym gestem wskazał nam wyjście z pomieszczenia.

- Sierżancie Hagen, do świtu kompania należy do pana. Zostanę tu jakiś czas.

- Tak jest! – Weteran trzasnął obcasami znoszonych butów.

Kiedy wychodziłem za pozostałymi, ostatni raz spojrzałem na trójkę, która pozostała przy stole. Czułem nie tylko lęk, ale i przerażającą pewność, że kapitan zgodzi się na warunki Algrathczyków.

I że nic dobrego z tego nie wyniknie.

5. Hagen obudził mnie, Byka, Czarną Vexley, Nellie i pozostałych sierżantów przed świtem i bez słowa kazał nam wyłączyć z magazynu. Jedno po drugim wychodziliśmy zatem na zewnątrz, odprowadzani zaciekawionymi spojrzeniami wartowników. Resztki snu zostawały powoli za nami wśród spokojnych oddechów pozostałych Kruków.

Dzień zapowiadał się ponuro. Na ołowianym, zachmurzonym niebie dopiero pojawiały się pierwsze sugestie brzasku. Paskudna, zimna mżawka osadzała się drobnymi kropelkami wody na opończach i kapturach. Ziemia, błotnista i pachnąca trawą, ustępowała pod stopami. W oddali, na zachód od nas, widzieliśmy zarys Gór Barrierowych, poszarpanych i groźnych.

Kapitan już czekał, wyprostowany i milczący. Obok niego stał jak wierny cień Literka i zatroskany Łata. Tylko szamana nie było nigdzie widać.

- Zebrać się, nie stać jak banda wieśniaków – Hagen bardziej burknął niż wrzasnął, ale w jego wypadku to wystarczyło. Dumna kadra podoficerska Kruczej Kompanii z pomrukami niezadowolenia uformowała szereg. – Kapitan będzie mówił.

Cofnął się o krok i spojrzał na dowódcę, a ten krótko skinął mu głową.

- Powinniście wiedzieć pierwsi – zwrócił się do nas – więc mówię wam pierwszym. Zdecydowałem się przyjąć ofertę Algrathczyków.

Kilkoro z nas spojrzęło po sobie, ale się nie odzywaliśmy. Nikt też nie wyglądał na zaskoczonego.

- Prawdą jest, że przywiódłem Kruczą tutaj, wiedząc, że czeka nas jeszcze jedna robota w tym roku – kontynuował Kapitan. – Ale nie znałem jej natury. Gdybym znał... – rozłożył bezradnie ręce, pokręcił głową i parsknął czymś, co mogło być śmiechem. – Do diaska, gdybym znał, możliwe, że też bym się zgodził. – Powiódł po nas wzrokiem. – Kompania potrzebuje pieniędzy. Inaczej ta zima będzie naprawdę, naprawdę chuda. Taka jest prawda.

Literka, stojący obok niego z zakłopotaną miną, patrzył w ziemię, jakby to on był winny całej

sprawie. On, a nie cholerny pech.

- Niezłą wiadomością jest to, że nasi mocodawcy też są pod ścianą – ciągnął dowódca. – W trakcie rozmów zgodzili się podbić stawkę do poczwórnej i dołożyli zakwaterowanie do stopienia śniegów.

Przez szereg przeszedł nierówny, mrukliwy i pozbawiony entuzjazmu wiwat. Hagen zrobił krok naprzód i już miał wrzasnąć, ale Kapitan zatrzymał go gestem.

- Ale to nie zmienia faktu, że robota będzie cholernie niebezpieczna. – Spojrzał na odległy, poszarpany grzebień gór. – To krasnoludzka strażnica, nawet z tym czarodziejem... – Zachnął się, jakby naprawdę nie wiedział co powiedzieć.

Nie spodziewałem się tego ani trochę. Kruki były już kilka razy w prawdziwym piekle, wielokrotnie pakowały się w tarapaty i wychodziły z nich cało. Ludziom mogła się nie podobać robota, mogli sarkać po cichu, ale przecież nikt by nie zakwestionował decyzji Kapitana. Bo był dowódcą, pierwszym Krukiem. Wyciągnął każdego nas z rynsztoka – czy w jakim innym piekle był – i zamienił w człowieka. Nigdy nie wąpiliśmy, że jego decyzje służą dobru Kompanii, a teraz wyglądało, jakby to on się wahał. To było... nienaturalne.

- Lord Lear powiedział, że zdradzi mi szczegóły zadania dopiero w trasie – podjął Kapitan nową myśl, ciągle jakby walcząc sam ze sobą. – Twierdzi, że ma powody, by tak czynić, a ja nie zamierzam nalegać. Przynajmniej jeszcze nie.

Ktoś zaklął cicho, chyba Nellie. Reszta stała w ciszy, a deszcz odbijał się wilgotnym pyłem od kapturów i płaszczy.

- Za parę chwil przyprowadzą nam z miasta wozy z zaopatrzeniem. – Kapitan albo jej nie usłyszał, albo nie chciał usłyszeć. – Kompania wyrusza z pierwszym brzaskiem. Ale zanim rozejdziecie się do swoich obowiązków, zasługujecie na czystą kartę. Jeśli ktokolwiek ma wątpliwości albo pytania, teraz jest na nie pora.

Spojrzałem najpierw na Nellie, a potem na Byka. Wielki sierżant drugiej dziesiątki stał obok mnie z bardzo niepewną miną. Kawałek dalej Czarna Vexley kręciła czubkiem okutego buta w rozmięklej ziemi, a Rast gapił się, jak zawsze, gdzieś w przestrzeń, jakby myślał o czymś zupełnie innym. Kapitan patrzył na nas wyczekująco. Wystąpiłem.

Hagen spojrzał na mnie groźnie, ale milczał, za to nasz dowódca skinął głową.

- Mów, Candor.

Odetchnąłem głęboko i uniosłem w górę rękę z zaciśniętą pięścią.

- Jedno stado! – Miał to być krzyk, ale przemoczenie i chrypa zamieniły go raczej w warknięcie. Ale to nie miało znaczenia.

- Jedno stado! – odpowiedziała Czarna Vexley unosząc pięść.

- Jedno stado! – podjęli następni. Rast i Byk, Nellie i Taliman zwany Medalikiem, i kolejni. Wreszcie nawet sam Hagen.

- Jedno stado! – zabrzmiał przed magazynem ponury chór.

Kapitan spojrzał na nas ze swoim zwykłym, ponurym uśmiechem, po czym sam uniosł w górę pięść.

We wzroku Nellie zobaczyłem radość, Rast wprost wykrzywił szczerbatą gębę w szerokim grymasie. Wielki Byk sprawiał wrażenie, jakby czuł ulgę, że ktoś zdjął z niego olbrzymi ciężar, a Vexley mierzyła wszystkich swoim zwykłym, lekko ironicznym wzrokiem. Dziewiątka sierżantów, Hagen, Kapitan, a nawet Literka i Łata, na moment przestali wątpić i się bać. Byliśmy Krukami. Szykowaliśmy się, by rozłożyć skrzydła i lecieć do bitwy.

To był ostatni raz, kiedy mieliśmy wybrać się w trasę wszyscy razem.

6. Krucza Kompania wyruszyła świtem. Szliśmy szerokim traktem wiodącym ku spękanej, poszarpanej ścianie Gór Barrierowych. Wraz z nami podróżowały dwa tuziny objuczonych zapasami i ekwipunkiem kuców, których okute kopyta wybijały miarowy rytm na kamieniach drogi. Moja dziesiątka - trzecia - szła z przodu kolumny, zaraz za zwiadowcami Nellie, a przed pierwszą Hageną, która towarzyszyła Kapitanowi i Lordowi Learowi. Oddział zamykali ludzie Rasta i towarzyszący im Shav'naz. Szaman zrezygnował ze swojego miejsca przy Kapitanie, i odkąd wyruszyliśmy, zdawał się robić wszystko, by znajdować się jak najdalej od czarodzieja.

My, niestety, nie mieliśmy takiego wyboru. W czasie drogi cały czas wyczuwałem upiorną obecność obcego jadącego na białym koniu - wartym zapewne tyle, co pół kompanii - zaledwie kilkanaście kroków przed nami. Robił wrażenie jeszcze gorsze niż wczoraj. Za dnia jego bladeść była bardziej widoczna, a palce zdawały się jeszcze chudsze i dłuższe. Patrzył cały czas przed siebie, w stronę gór, a usta poruszały mu się, jakby wypowiadał bezgłośnie jakieś słowa. Choć milczał, cały czas miałem dziwne wrażenie, że w powietrzu wokół niego brzmią te same szepty, które słyszałem podczas nocnej narady z Kapitanem.

Nie lubiłem Shav'naza, ale Lord Lear był od niego po stokroć gorszy.

Trakt - jak się dowiedzieliśmy - był jedną z półtuzina dróg, które prowadziły przez przełęcze powstałe, kiedy tysiąc lat temu pękł łańcuch Gór Barrierowych. Prowadził blisko wielu miasteczek oraz wiosek i nawet teraz bywał uczęszczany. Co jakiś czas spotykaliśmy pojedynczych wędrowców, niewielkie grupy albo nawet kilka wozów. Reakcja była zawsze taka sama - kolumna wojska, idąca od strony oceanu, była witana obojętnością, która stopniowo topniała, kiedy okazywało się, że nie niesiemy chorągwi Algrath. Wtedy w najlepszym razie budziliśmy niepokój, w najgorszym strach. Dwa razy zaczęły nas patrole. Jednemu wystarczyło zobaczyć czarodzieja. Drugi był bardziej zasadniczy i Kapitan musiał pokazać listy otrzymane od nadsetnika Algrath, który nas wynajął. Trudno było się zresztą dziwić. W bardzo niewielu miejscach obce wojsko nie budzi, najczęściej zresztą całkiem uzasadnionych, obaw.

Mżyło cały dzień. Matka, miejcie ją bogowie w opiece, mówiła mi kiedyś, że taki deszcz to jesień płacząca za straconym latem. Ale ona mówiła mi dużo rzeczy, w większości głupich. Za szczeniaka lubiłem takie historie, o porach roku i spełniających życzenia psotnych duszkach, wodnikach, bogach, którzy zamknęli demony głęboko pod ziemią, czy niepokonanych herosach. Takie tam bajki dla dzieci. Zapamiętałem je razem z głosem matki, lepiej nawet od jej twarzy czy imienia. Rzadko wracałem do niej myślami, ale - z jakiegoś powodu - tego dnia akurat tak wyszło, sam nie wiedziałem dlaczego. Może przez ten deszcz.

Ku zaskoczeniu wszystkich, wieczorem się rozpogodziło. Kiedy Krucza zesza z traktu i zatrzymała się na popas w cieniu jodłowego lasu, chmury rozeszły się i na niebo wszedł księżyc, błękitny i jasny. W jego świetle ponura linia górskich grani była widoczna lepiej niż za dnia, ostra i czarna jak śmierć. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, mieliśmy dotrzeć tam jutro, w każdym razie do ich podnóża. Potem... potem sam nie wiedziałem, co będzie. Reszta dziesiątki, a nawet całej kompanii, też była jakby cichsza. Przy ogniskach nie rozbrzmiewały rozmowy i żarty. Wszyscy jedli swoje racje w milczeniu albo gapili się w płomienie. Nawet Kapitan.

Shav'naz rozbił swój namiot osobno i otoczył go kręgami, wysypanymi kolorowym proszkiem. Nic na ich temat nie powiedział nikomu, kto o to pytał, nawet Hagenowi. Widzieliśmy też później, jak rozmawiał z Kapitanem, głośno i gderliwie, ale nawet Nellie nie była w stanie rozróżnić słów, które mówił. Wszyscy jednak byliśmy przekonani, że rozmawiali o czarodzieju, i to z jego powodu tak się zachowywał. Że się go po prostu boi.

I my też powinniśmy.

To stało się na warcie mojej dziesiątki, gdzieś w godzinie wilka. Spałem, kiedy nagle poczułem gwałtowne szarpnięcie, i zobaczyłem stojącego nade mną Casta. Na zewnątrz świstał ostry, jesienny wiatr.

- Sierzancie - wyszeptał tubalnym głosem. - Sierzancie, proszę wstać.

- Co się dzieje, alarm? - Sięgnąłem po broń, ale żołnierz uspokoił mnie gestem.

- Nie, nic takiego - wyszeptał. - To ten czarodziej.

- Co z nim?

- Noo, tak jakby... on śpiewa.

Spojrzałem na widoczną w ciemności sylwetkę podwładnego.

- A co mnie obchodzi, że śpiewa? Niech sobie śpiewa.

- No ale... tak dziwnie.

W duchu przekląłem Casta i jego przesadność, ale wstałem.

- No dobra, niech to lepiej będzie tego warte...

Przy całej swojej dziwacznej przesadności, Cast był niezłym żołnierzem i, prawdopodobnie, jednym z kilku naprawdę dobrych ludzi w Krukach. Jeśli krótki spacer w ciemności miał go uspokoić, to mogłem się poświęcić.

Niebo nadal było czyste i jasne dzięki błękitnemu blaskowi księżyca. W obozie płonęły tylko trzy ogniska, pilnowane teraz przez połowę dziesiątki Otta. Płomienie pochylały się w świszczącym, przenikliwym wietrze, już bardziej zimowym niż jesiennym. Reszta wartowników kręciła się gdzieś po obwodzie.

- No i gdzie on? - zapytałem narzucając płaszcz.

- Dalej, chodźmy.

Poprowadził mnie pomiędzy namiotami i na zewnątrz linii wart, aż pod las. Tam zobaczyliśmy Leara. Czarodziej siedział w kręgu ułożonym z kamieni tak jasnych, że zdawały się lśnić w księżycowym świetle. Jego twarz była biała niczym maska w ciemności, a długie palce miał splecione na wysokości klatki piersiowej. I faktycznie, coś tam od niego słyszałem, jakąś odległą, tęskną pieśń, śpiewaną pięknym, melodyjnym głosem

- Słyszysz pan? - wyszeptał podekscytowany Cast. - Słyszysz?

- Coś tam słyszę...

Zmarszczyłem czoło, próbując wylapać coś przez zawrodozenie wiatru. Byłem prawie pewien, że rozumiem słowa i melodię, ale stałem za daleko. Zrobiłem kilka cichych kroków.

I nagle poczułem mocną, żyłastą rękę na ramieniu i zobaczyłem niską, przygarbioną postać, łypiącą na mnie nieprzyjemnym wzrokiem.

- Co robicie? - warknął Shav'naz wyraźnie wrogo. - Na stanowiska wracać.

- Spokojnie panie oficerze - spróbowałem. - Czarodzieja chcemy pilnować, bo od obozu odszedł.

- Gdzie on sobie chodzi, to jego sprawa. Wy macie wracać. Już.

Mina szamana nie pozostawiała wiele wątpliwości na temat jego determinacji w tej sprawie.

- Ale...

- Sierzancie! - syknął groźnie Shav'naz.

Chciałem jeszcze protestować, ale tylko skinąłem niechętnie głową. Szaman, przy całym swoim dziwactwie, był w końcu oficerem. Zawróciliśmy zatem z Castem i weszliśmy pomiędzy namioty.

- Wcześniej było lepiej słyhać, zanim tak się rozwiało - mówił żołnierz. - To takie, no... niesamowite. Myśli pan, sierzancie, że czary rzucał?

- Może. Nie znam się na czarach.

- Potem jeszcze tam wrócę, to zobaczę.

- Cast! - Spojrzałem na niego ostro.

- Co?

- Nie wrócisz tam. Będiesz siedział grzecznie na stanowisku do rana, bo inaczej mi Shav'naz żyć nie da.

Zwalisty żołnierz spojrzał na mnie jakby smutno, ale ostatecznie skinął głową.

Dopiero z powrotem w namiocie, kiedy zawiąłem się w koc i próbowałem znowu zasnąć, ignorując łopot jakiejś nieumocowanej klapy namiotowej, dotarła do mnie groza całej sytuacji. Uderzyła nagle, raz, i sprawiła, że do świtu nie zmrużyłem już oka, wyglądając z namiotu i bacznie obserwując krążącego na warcie Casta.

Rzeczywiście słyhałem tam jakieś głosy, nawet jeśli nie brzmiały mi do końca na śpiew, i nie potrafiłem powtórzyć melodii.

Tego byłem pewien.

Tak samo, jak tego, że czarodziej ani razu nie otworzył ust.

7. Maszerowaliśmy cały dzień, a dość niespodziewanie sprzyjająca pogoda i nieźle utrzymany trakt pozwalały na zachowanie całkiem dobrego tempa. Im bliżej byliśmy gór, tym okolica była bardziej opustoszała. Od połowy dnia w zasadzie prawie nie spotykaliśmy już podróżnych, a ci nieliczni, na których zdarzało nam się trafiać, nieodmiennie podróżowali na południe, z przeciwka. Mijane wioski zdawały się niemal puste. Ich mieszkańcy wyraźnie nie chcieli mieć z nami do czynienia. Choć z

daleka zdarzało nam się widzieć wznoszące się z nich ku niebu smugi kominowego dymu, to kiedy się zbliżyliśmy, witały nas tylko pozamykane drzwi i okna oraz puste ulice.

- Reakcja na wojsko taka jak zawsze - mruknął Byk, kiedy przechodziliśmy przez kolejną ziejącą pustką, osadę.

- Z daleka potrafiały wyczuć, że jesteśmy najemnikami - zauważyła Nellie.

- A co chłopu za różnica, najemnik czy herbowy? - Rast zarechotał złośliwie. Wyglądał teraz jak mały, wyjątkowo paskudny chochlik. - Herbowi to nie są ludzie? Nazrec się, napić i rozerwać nie potrzebują?

- W swoim własnym kraju to różnie bywa - skrzywiła się wyraźnie zniesmaczona Nellie. - Nie każdy jest tobą.

Niski, szczerbaty sierżant zaśmiał się jeszcze głośniejsze, po czym spojrzał na dziewczynę, kręcąc z politowaniem głową.

- Tyle lat, Nellie, a ty nadal się nie nauczyłaś - powiedział nagle dziwnie gorzko. - Każdy jest mną. Każdy, kto ma w łapie żelazo i stoi naprzeciw tych, co go nie mają, jest mną. A w każdym razie blisko. Ja tylko tego nie kryję.

- Jesteś obrzydliwy.

- Szczery.

Zaśmiał się znów, a jego zgrzytliwy jak tarcie stali po kamieniu rechot poniósł się przez pustą osadę.

- Morda, Rast - warknął Hagen. - Ty tu w pracy jesteś.

Rast zrobił skrzywioną minę, ale uciszył się prędko. Hagenowi nikt podpadać nie chciał.

Moja dziesiątka była dziś w środku szyku, za Kapitanem i czarodziejem, a przed Shav'nazem, podobnie jak wczoraj cofniętym na sam koniec kolumny, do oddziału Craggena. Szaman przez cały dzień nie wspominał nawet o naszym nocnym spotkaniu, ale kilkakrotnie widziałem, że czujnie obserwuje to czarodzieja - jadącego na swoim białym koniu lekko, jakby unosił się nad traktem - to mnie i Casta. Mój podwładny zresztą również nic o nocnej przygodzie nie opowiadał, tylko strugał, jak zwykle w marszu, jedną ze swoich drewnianych figurek, nucąc coś pod nosem.

Było już późne popołudnie, kiedy trakt zaczął wyraźnie piąć się pod górę i kompania weszła w wydłużający się, zimny cień Gór Barrierowych.

Pasma było wysokie, o poszarpanych, ostrych szczytach i zboczach, szybko nabierających stromizny, i uciekających ze świerkowych lasów ku urwistym ścianom. Z rzadka widać było na nich łagodniejsze fragmenty, pocięte wąskimi ścieżkami, pewnie uczęszczanymi głównie przez kozice. Trudno było sobie wyobrazić pokonywanie tych gór z dala od wyciętych w ich paśmie niczym szczerby na mieczu przełęczy. Ku jednej z nich zmierzał nasz trakt.

- Kiedyś podobno była to prawdziwie nieprzebyta bariera - powiedział nam Literka, kiedy zapytaliśmy. - Prawie od morza do morza. Ale wiele pokoleń temu góry ponoć pękły, a ich fragmenty runęły w doliny kamiennymi lawinami, porywając ze zboczy całe osady, ludzi, zwierzęta i rośliny. Potem, przez kolejne lata, Vidianie przekroczyli przełęcze i skolonizowali wszystko po tej stronie.

- A krasnoludy? - zapytał Byk. - Jak to przetrwały?

Literka wzruszył chudymi ramionami.

- Chyba pojawiły się tam dopiero potem. Ale raczej niedługo, bo w Vidii wiedzą o ich obecności od bardzo dawna. A tak to już jest, że jak góry się poruszają, to oni pierwsi są na miejscu. Potem ruszyć ich nie można, a nam zostają tylko pośledniejsze złoża, znajdujące się z dala od ich siedzib.

- Nie lubią konkurencji? - zapytał Benedykt, dowódca minerów z czwartej.

- No, za mojego życia to nikt nie próbował się budować w promieniu dnia drogi od tych ich strażnic. - Literka spojrział na sierżanta znacząco. - Wcześniej podobno tak... ale po tych kopalniach już śladu nawet nie ma.

- Znaczący przyszli tu po zawałeniu się cholernych gór i Vidia boi się im podskoczyć - mruknął Byk ponuro. - Coraz lepiej się czuję z naszą akcją, nie ma co.

- A wcześniej czułeś się dobrze? - Czarna Vexley uśmiechnęła się ironicznie

- Oj, wiesz, o co mi chodzi.

Nastał wieczór. Szliśmy już w cieniu gór, pomiędzy skalnymi rumowiskami, meandrując wokół porośniętych niskimi krzewami pagórków. Rosnący po obu stronach traktu świerkowy las, zdawał się groźnie na nas łytać. Tu, przy ziemi, było spokojnie, ale czubki drzew poruszały się targane wiatrem, którego odległy świst słyszeliśmy nawet na ścieżce. Zbliżała się pora postoj.

Wtedy właśnie nadbiegł Norn, jeden ze zwiadowców Nellie. Sierżant, ilekroć prowadziła kolumnę, zawsze wysyłała paru swoich naprzód, żeby przepatrywali trakt w poszukiwaniu niespodzianek - a bliżej zmierzchu po prostu miejsca na postój. Tym razem wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zorientować się, że cokolwiek ma do powiedzenia Norn, stanowczo należy do tej pierwszej kategorii.

- Niedaleko jest wioska - zameldował Nellie Kapitanowi, który już znalazł się przy przedniej straży. Mówił dość głośno, tak że ze swojej pozycji słyszałem go doskonale. Był też wyraźnie zdenerwowany. - Jakies dwadzieścia chałup. Wybita do nogi.

- Wybita czy opustoszała? - zapytał spokojnie Kapitan, spoglądając na zwiadowcę z uwagą.

- Wybita - powiedział z żelazną pewnością Norn. - Widziałem trupy.

Kapitan skinął głową bardzo powoli, jakby z namysłem, ale zwiadowca jeszcze nie skończył.

- Nie wydaje mi się - dodał - żeby pozabijali ich ludzie.

8. Osada zdawała się wyrastać nagle spomiędzy ciemnych drzew, jakby ktoś umyślnie starał się wtopić ją w las. Wrażenie potęgował fakt, że wcale nie znajdowała się przy meandrującym w stronę przełęczy trakcie. Aby do niej dotrzeć, trzeba było przejść dobre pół mili wąską, słabo widoczną pomiędzy poszyciem ścieżką. Wyraźnie mieszkańcom nie zależało na nieproszonych gościach - możliwe, że była to jedna z tych osad, które w całości niemal trudniły się przemytem czy kłusownictwem.

Do niedawna.

Teraz przedstawiała sobą obraz krwawej katastrofy. Wszędzie wokół leżały ciała - mężczyzn, kobiet, starców i dzieci - paskudnie okaleczone, rozczłonkowane i poszarpane. Wydawało się, że jakiś

krwawy huragan przeszedł przez osadę, bezlitośnie mordując wszystko na swojej drodze, nie oszczędzając ani tych, którzy stanęli naprzeciw, ani tych, którzy próbowali się chować czy uciekać.

- Co tu się stało...? - wymamrotał Cast, kiedy nasza dziesiątka zatrzymała się przy studni. Przez cembrowinę przewieszono było zmasakrowane ciało.

- Vidyjskie jednostki specjalne? - Sierra podszedł do trupa.

- Nie. Norn miał rację - mruknęła Daraela. - To nie ludzie ich tak załatwili.

- Nellie! - komenderował tymczasem Kapitan. - Weź swoich i poszukajcie jakichkolwiek śladów walki albo tropów. Chcę wiedzieć, co tu się mogło stać.

Dowódczyni zwiadowców tylko skinęła głową, a jej ludzie rozpiezchli się we wszystkie strony. Ich głosy i kroki szybko zniknęły, pozarte przez panującą tu ciszę, zupełnie jakby wymarła wioska nie chciała żadnych dźwięków. Nawet szum drzew, w których wierzchołkach dął przejmujący wicher, zdawał się cichszy.

- Candor, ty zostajesz tutaj ze swoimi - rzucił oficer w moją stronę. - Byk, Vexley i Medalik, wy obstawiacie wioskę od północy. Meldować, jak tylko coś zobaczycie.

Potwierdziłem krótko, a potem rozstawiłem trzecią dookoła. Daraelę z kuszą posłałem po drabinie na szczyt dachu najbliższej chałupy, reszta pilnowała pozycji względem pozostałych dziesiątek. Miejsce nie podobało mi się ani trochę, a w zapadającym zmroku robiło jeszcze gorsze wrażenie. Nie chodziło nawet o ciała. Bogowie świadkami, że widziałem już wystarczająco dużo trupów, żeby nie robiło to na mnie wrażenia. Coś jednak było w tej cichej i martwej, wchłoniętej przez las osadzie... coś, co nie pozwalało mi zachować spokoju. Ciemność - nie zwykły cień zmierzchu, ale prawdziwa ciemność, jak z głębokich kopalń - zdawała się pełzać pomiędzy domami, gromadzić pod strzechami i mroku za uchylonymi drzwiami chat.

- Lordzie? - Kapitan zwrócił się do czarodzieja. - Coś to panu mówi?

Lord Lear zszedł z konia i rozejrzał się dookoła. Jego oczy zdawały się niemal świecić w ciemności dziwnym, zielonkawym i błękitnym, jak u kota, blaskiem. Nabrał kilka razy powietrza nosem, jakby węszył.

- Góry - powiedział tym splecionym z dziesiątek szeptów głosem. - Mają swoją magię. Czasem nie chcą tu ludzi. Czasem nie chcą ich bardzo.

- Czy moi żołnierze będą tu bezpieczni?

- O co pytasz? - Czarodziej posłał mu połyskliwe, hipnotyczne spojrzenie.

- Czy ktokolwiek albo cokolwiek to zrobiło, nadal tu jest?

- Nasyciło się już. - Czarodziej uśmiechnął się upiornie. - Nie martwiłbym się teraz.

- Lordzie - Kapitan wyraźnie się zachnął - jesteśmy o dzień drogi od celu. Cokolwiek dokonało tej rzezi, może mieć wpływ na nasze zadanie i chciałbym...

W tym dokładnie momencie podbiegła Nellie i powiedziała coś swoim zwykłym, ścisłym głosem.

- Rozumiem - powiedział Kapitan. - Chodźmy. Candor, weź swoich i za mną.

Mimo zapalonych pochodni ledwo widziałem, co pokazuje tropicielka, zatem tym bardziej nie mogłem zrozumieć, jak Nellie była w stanie to odkryć w niemal zupełnej ciemności leśnego zmierzchu. Ale taka już była.

- Zbrojni, i to ciężko. - Wskazała na odcisk w miękkim mchu. - Prawdopodobnie ósemka. Pancerze i mocne, okute buty. Głębokie ślady, krótkie kroki. Przyszli od strony przełęczy. Ich ślady są potem w całej wiosce Raczej topory niż miecze.

- Rozumiem.

- Jest jeszcze to. - Nellie sięgnęła za pazuchę i wyjęła ciemnoszarą płytkę, wygiętą i nierówną. - To prawdopodobnie oderwana łuska pancerza. I za diabła nie rozpoznaję ani metalu, ani układu. Vidyjski to on nie jest.

- Może to krasnoludy? - wyrwał się Sierra, który rozglądał się zaniepokojony,

- Tak właśnie myślałam - zgodziła się Nellie. - Przyszły od strony gór, kiedy doszły do wioski, rozdzieliły się na pary i obeszyły wszystko tutaj. Z całą pewnością walczyły, w każdym razie zadawały ciosy. Mieli ciężko rannego lub zabitego, ale odciągnęli go z powrotem w stronę gór. Mogę pokazać ślady.

- I one wybiły tych ludzi? - Kapitan uniósł pytająco brew.

- Sami się raczej nie pozabijali. Może oni. Ale niekoniecznie. Znaleźliśmy jeszcze coś.

- Pokaż.

Zaprowadziła nas dalej pomiędzy chaty i wskazała kilka pozornie nieróżniących się od pozostałych miejsc. Nawet wtedy i przy świetle pochodni trudno było coś w nich dojrzeć.

- Co to jest? - Kapitan uniósł brew.

- Ślady - odparła nieco bezradnie sierżant siódmej. - Są ledwie wyraźne, jakby to, co je zostawiło, było bardzo lekkie, ale musiało przy tym robić wielkie susy, więc nie mogło być małe. No i...

Wskazała na drewniane drzwi domu zaraz przy znalezionych śladach. Były niemal wyrwane z zawiasów potężnym ciosem. Nie znałem nikogo, kto by potrafił to zrobić. A znałem przecież Byka.

- Lordzie? - zapytał Kapitan.

Czarodziej obserwował Nellie uważnie, co jakiś czas przenosząc wzrok na wskazywane przez nią ślady. Milczał.

- Czy to mogły być krasnoludy? Albo coś, co krasnoludy przyprowadziły?

Lord Lear przekrzywił głowę, jakby chciał spojrzeć na dowódcę pod innym kątem. Jego oczy znowu błysnęły.

- Tak.

- Ma pan pomysł, dlaczego mogłyby zaatakować tę wioskę?

Przez moment Lear jakby się zastanawiał.

- Krasnoludy nie są ludźmi - powiedział wreszcie patrząc na naszego dowódcę nieprzenikniętym wzrokiem. - Wyglądają do nich trochę podobnie, ale to... mylące wrażenie. Ich umysły to labirynty o stalowych ścianach i ścieżkach wiodących donikąd. Ich postrzeganie ludzi też jest... szczególne.

Nie podobało mi się to ani trochę. Słyszałem co prawda o zniszczonych przez krasnoludy kopalniach - głównie w historiach sprzed wielu lat - ale mimo wszystko po prostu wmaszerowanie do leśnej osady i wybicie w niej wszystkich? W dodatku jeżeli mieli topory, to dlaczego jeszcze ciągnęli ze sobą... cokolwiek to było, czego ślady znalazła Nellie? Jakaś bestia na łańcuchu? Czy w ten sposób zabijają? Może chciały nas nastraszyć?

- Może mi pan powiedzieć coś więcej?

Lear rozejrzał się dookoła.

- Moja magia niewiele tu jest w stanie pomóc - odpowiedział wreszcie.

Kapitan uniósł brwi w zaskoczeniu i przez chwilę zdawało się, że chce o coś zapytać, ale ostatecznie zrezygnował.

- Rozumiem - powiedział tylko. - Shav'naz?

Szaman, który wciąż trzymał się z daleka od Leara, zmaterializował się z ciemności niczym duch.

- Sprawdź to miejsce.

Szaman skinął głową, łypnął niechętnie na czarodzieja, po czym wszedł między domy i zaczął sypać swoje proszki, kreśląc krąg za kręgiem. Potem zasiadł w środku, stał coś do niewielkiej miseczki i podpalił jej zawartość. Wokół rozszedł się ostry, ziołowy zapach. Shav'naz przymknął oczy i na kilka chwil zamarł. Zaczął śpiewać, ochryplym, niepokojącym głosem. W jego głosie, w zapachu ziół i zielonkawym ogniu zdawały się brzmieć słowa pradawnych modlitw, kryć całe wieki rzezi i krwawych ofiar. Widziałem już wcześniej jego sztuczki, ale jakoś nigdy nie potrafiłem się do nich przyzwyczaić. Zaśpiew z czasem narastał i nagle zorientowałem się, że jest jedynym dźwiękiem, którego nie tłumila dusząca cisza tego miejsca, jednym, który się przez nią przebijał.

- Sierzancie - szepnęła Moira i wskazała na czarodzieja.

Lord Lear obserwował rytuał Shav'naza głodnym, pełnym drapieżnego zadowolenia wzrokiem. Jego jarzące się oczy zdawały się zmieniać barwy, a palce układał w skomplikowane wzory. Cała sylwetka zdawała się lekko jarzyć szarą poświatą i przez moment zdawało mi się, że obok czarodzieja stoi jakaś inna, widmowa postać, trupioblada i przerażająca. I ona, i sam czarodziej zdawały się szeptać coś, ale słowa niknęły gdzieś we wznoszącej się pieśni naszego oficera.

- Co do...

Zanim skończyłem mówić, nagle Shav'naz głośno krzyknął i upadł na ziemię. Wszyscy spojrzeliśmy po sobie - różnie kończyły się dotąd rytuały szamana, ale tak nigdy. Kapitan wskazał szybkim gestem i Literka oraz Łata podbiegli do niego.

- Nieprzytomny! - krzyknął Łata. - Nie krwawi ani nic. I oddycha.

- Możesz go postawić?

- To czary, Kapitanie - powiedział bezradnie medyk. - Mogę spróbować, ale...

Rozłożył ręce. Dowódca Kruczej skinął krótko głową.

- Hagen!

- Jestem.

- Zbierz wszystkich i wyruszamy. Dwójka z twoich pomoże Łacie nieść Shav'naza. Chcę wsadzić pomiędzy nas a to miejsce przynajmniej godzinę drogi, zanim rozbijemy obóz.

- Tak jest.

Pośpiesznie zebrałem trzecią dziesiątkę. Spieszyło mi się, żeby opuścić to przeklęte miejsce, jego ciszę, czającą się wszędzie ciemność, zapach śmierci i złej magii, która była w stanie pokonać nawet Shav'naza. Wiedziałem jedno – po tym, co tu zobaczyłem, krasnoludy wydawały mi się jeszcze bardziej przerażające niż wcześniej.

- Sierzancie? – zagadnęła mnie Daraela, kiedy nasza grupa szła leśną ścieżką. – Myśli pan, że co się tam stało?

- Liczę, że Shav'naz nam powie, kiedy stanie już na nogi. Ten czarodziej wyraźnie wie więcej niż chce powiedzieć.

Kuszniczka przez kilka chwil zastanawiała się.

- Myślę, że kłamie. To nie były krasnoludy.

Spojrzałem na sylwetkę Lord Leara, mglistą i rozmytą w leśnym półmroku. Widmowa postać zniknęła już dawno, podobnie jak dziwny, bijący od niego blask. A może po prostu mi się wtedy zdawało i czarodziej wyglądał tak jak wcześniej. To znaczy – cholernie niepokojąco.

- Dlatego, że tak rozłożyło szamana? – zapytałem.

- Nie tylko. Ta wioska to nie był żaden garnizon ani nic. Nie znaleźliśmy nikogo, kto byłby uzbrojony lepiej niż we włócznię albo dość lichy łuk.

- Ano nie. – Spojrzałem na nią, unosząc pytająco brew. – I co z tego?

- No bo jeśli ci wieśniacy tacy właśnie byli – strzelec spojrzała na mnie poważnie – to skąd się u krasnoludów wziął ciężko ranny lub zabity?

9. Tej nocy niewiele spaliśmy. Te kilka krótkich drzemek, które udało mi się uciąć, nieodmiennie przenosiły mnie do wioski i jej niedawno wymordowanych w okrutny sposób mieszkańców. Nie byłem jakoś bardzo przeczulony, ale ostatnie widoki zapadły mi w pamięć. W koszmarnych wizjach widziałem oddział zakutych w stal krasnoludów wybijających wszystkich mieszkańców i wracających gdzieś w ciemność. Albo jakiegoś straszliwego stwora, który mordował ludzi, a potem stoczył bój z krasnoludami. Wreszcie widziałem demona, takiego jak z historii matki, który posila się najpierw jednymi, potem drugimi. Demon miał bladą twarz i błyszczące, niebieskozielone oczy Lord Leara.

Poranek nie był lepszy. Po męczącej nocy nawet rześkie, chłodne powietrze i czyste niebo niewiele pomogło na nastroje – tak moje, jak i kompanii.

Łata i połowa ludzi Hageny zajmowali się nieprzytomnym Shav'nazem. Szaman zdawał się ciągle znajdować gdzieś na pograniczu wybudzenia, dygotał i pomrukiwał, co jakiś czas wyrzucając z siebie pojedyncze słowa w niezrozumiałym języku. Raz zanucił coś, a potem wybuchł głośnymi

przekleństwami. Nie mieliśmy pojęcia ani co się dzieje w jego głowie, ani jak temu zaradzić – jeszcze nigdy żaden obrządek nie skończył się dla szamana tak źle. Zarówno medyk, jaki pozostali, byli bezradni. Podobno Kapitan rozmawiał o nim z Lordem Learem, ale też nie udało mu się uzyskać żadnej pomocy.

Coraz bardziej martwiłem się Kapitanem i tym czarodziejem. Wydawało się, że odkąd Lear zaczął podróżować z Kruczą, stopniowo nasz dowódca coraz bardziej słuchał jego upiornego głosu, a coraz mniej przejmował się nami. Nie wiedziałem, czy była to kwestia czarów, jak kilku z naszych zasugerowało, czy po prostu zmartwień. Kapitan sprawiał jednak wrażenie jakiegoś zaniepokojonego i rozkojarzonego, zupełnie inaczej niż zwykle przed bitwą.

Kompania wyruszyła w góry, ledwo słońce porządnie wzeszło. Tym razem szybko odbiliśmy od traktu i – kierowani wskazówkami czarodzieja – ruszyliśmy bocznymi, coraz węższymi ścieżkami w górę skalistych żlebów i po zboczach, które powstały, gdy Góry Barrierowe pękły i rozerwały się z litego niemal, skalnego muru, w nierówne i poprzecinane przełęczami pasmo. Szliśmy coraz wyżej, najpierw dwójkami, a potem już gęsiego. Ciągnięte kuce, coraz mniej zadowolone, człapały niechętnie noga za nogą. Ludziom nie było wiele lepiej. Mnie również, choć w moim przypadku – jak i zresztą pozostałych żołnierzy Kruczej – nie było to związane z urwistym zboczem. Wiedzieliśmy, że każda godzina zbliża nas do celu, gdzie mieliśmy zrealizować pierwszą część zadania.

I nadal nie mieliśmy zupełnie pojęcia, jak to zrobić, czego możemy się spodziewać oraz jaka w tym wszystkim jest rola – z innego jakby świata wziętego – Leara. Ten brak pewności i niepokój widziałem w spojrzeniach moich ludzi, i w tym, jak szli, i w wybuchających o drobiazgi sprzeczkach.

- A co, sierżancie – zagadnął mnie w którymś momencie Sierra – jeżeli ci Algrathczycy nas wystawiają? Jeśli ich prawdziwe wojsko robi, co ma robić, a my mamy zginąć w tych cholernych górach, zabici przez tych krasnoludów, a czarodziej ma tego dopilnować?

- Kapitan nie wpakowałby nas w taką sytuację – odpowiedziałem zdecydowanym tonem, choć samemu daleko było mi do przekonania. – Raz, że sam nie chce zginąć, dwa, że cała ta robota jest po to, żeby Krucza przetrwała zimę. Raczej do niczego byłoby to przetrwanie, gdybyśmy mieli teraz zginąć.

- Nie no, może nie mamy zginąć co do nogi – upierał się nożownik. – Ale wie pan, tak jakby, że ten atak zupełnie nie ma sensu.

- Kapitan widzi w nim sens i to mi wystarczy. Zresztą, to on jest dowódcą i on decyduje.

- Nie no, jasne... – żołnierz zgrabnie przekroczył wąską, ale niepokojąco głęboką rozpadlinę. – A jakby pan, panie sierżancie, mógł zdecydować?

- Zamiast Kapitana?

- No tak.

Spojrzałem na Sierrę z naciskiem, a potem przeniosłem wzrok na kilku kolejnych ciekawskich, którzy przysłuchiwali się rozmowie.

- Pomyślałbym, że poczwórna stawka plus wikt i opierunek to doskonałe pieniądze za dwa tygodnie roboty – powiedziałem mocnym głosem. – Zapewne uwzględniłbym też to, że mamy doskonałe wsparcie w osobie Lorda Leara, który jest pewnie jedną z dziesięciu najpotężniejszych osób na kontynencie i mimo swoich dziwactw jest i będzie nieocenioną pomocą. No i wreszcie pamiętałbym, że jesteśmy cholerną kompanią najemniczą i ryzykowanie karku mojego i moich ludzi, a zwłaszcza

twojego, Sierra, to nasza robota.

Kilku żołnierzy zarechotało wesoło. I ja też, choć w duchu wcale nie było mi do śmiechu.

Obóz rozbiliśmy pod wisząca skałą, nieopodal ostrego urwiska spadającego ku malutkim z tej wysokości świerkom daleko pod granią. Niebo było czyste i rozgwieżdżone, a rześkie, mroźne powietrze sprawiało, że wszystko zdawało się trochę bliższe. W normalnych okolicznościach tylko ucieszyłbym się z czegoś takiego. Jeśli już mieliśmy podróżować po ścieżkach odpowiedniejszych dla muflonów niż dla ludzi, to wolałem to zrobić przy pięknej pogodzie. Z drugiej strony – jutro mieliśmy dotrzeć do celu naszej podróży i pewnie go zaatakować. Obstawiałem, że krasnoludy nie budowały swoich strażnic tak, żeby łatwo było je podejść z zaskoczenia, a przy pięknej pogodzie będą nas pewnie widzieć z daleka. W takich warunkach i ludzka strażnica może być nie lada kłopotem, a co dopiero nigdy nie zdobyta krasnoludzka twierdza.

Lord Lear spędził całą noc na krawędzi urwiska, w bezruchu obserwując górski łańcuch i mówiąc coś cichym, upiornym głosem. Kilku wartowników wspominało potem, klnąc się na życie własnych matek, że ktoś tam był – ktoś, kto odpowiadał na jego słowa nieprzyjemnym, zgrzytliwym głosem przypominającym trące o siebie kamienie. Castowi zdawało się również, że rozpoznaje tę sama pieśń, którą słyszeliśmy już na nocnym obozowisku – ale tego akurat nie słyszał już nikt poza nim.

Nie mieliśmy pojęcia, co czarodziej robi, zresztą tak samo jak wcześniej. Faktem jednak było, że przed świtem niebo zaszło chmurami, a niedługo potem zaczął z nich sypać śnieg. W porze, kiedy powinniśmy być w stanie zobaczyć wschodzące słońce, wokół obozu szalała już śnieżycą.

10. Burza śnieżna zdawała się tylko narastać. Wyruszając z obozu, wstąpiliśmy nie tyle na szlak, co wpadliśmy w białą ścianę wścieklej zawiei.

Cały dzień spędziliśmy w marszu. Ten czas był wypełniony wyciem wiatru, śnieżną zawieruchą i mrozem. Kiedy robiłem kolejne kroki, ledwie widziałem, gdzie postawię stopę, a idący przede mną ostatni w dziesiątce Benedykta rosły topornik Viltarns był ledwie rysującą się w zadyńce sylwetką. Tych, którzy szli przed nim, nie widziałem wcale. Ręce, mimo futrzanych rękawic, drętwiały mi z zimna, a nogi zdawały się ciężkie jak z ołowiu. Wicher wyrywał mi oddech z płuc bolesnymi, zimnymi szarpnięciami. Każda godzina była torturą nieprzeniknionej lodowatej bieli. Nie byłem w stanie nawet stwierdzić, czy pokonywaliśmy całe mile, czy zaledwie jardy. Starłem się nie myśleć o tym, że koło ścieżki, którą ledwie widziałem, otwierała się przepaść, a każdy fałszywy krok może okazać się ostatnim. Zresztą zimno i zmęczenie wyciskały mi z umysłu wszelkie myśli. Było tylko białe piekło i ja, zawieszony zupełnie sam pomiędzy mglistymi postaciami z przodu i z tyłu – postaciami, które mogły być Viltarnsem i Castem, ale równie dobrze przywidzeniami, wspomnieniami albo wręcz duchami kompanów, którzy dawno już spotkali swój koniec u stóp turni.

Kiedy zatrzymaliśmy się po marszu – zadawało się, że tysiącletnim – burza odrobinę zelżała. Na tyle, że byłem w stanie dostrzec zapadający wieczór. Kompania zebrała się, wyczerpana, głodna i przemarznięta, przy sterczącej ku niebu czarnej skale. Była zimna i twarda, ale – ponieważ dawała nam osłonę przed wiatrem – zdawała się niemal zbawieniem. Mieliśmy szansę zjeść trochę zimnego suszonego mięsa i chwilę odpocząć.

Kadra spotkała się na naradę. Mimo skały i skupienia w kręgu, musieliśmy – dziesiątka sierżantów, w tej liczbie i ja, oraz Kapitan, Łata i Literka – prawie krzyczeć, by słyszeć się nawzajem.

- Jesteśmy mniej niż pół mili od strażnicy – zaczął Kapitan. – Resztę dystansu pokonamy w nocy, kiedy trochę odpoczniemy.

- W nocy może być ciężko – zauważył Byk. – Ludzie ledwo żyją. A teraz to nie będzie marsz, tylko

atak. Może lepiej poczekać do rana?

- Nie mamy tyle czasu - pokręcił głową dowódca. - Do rana musimy być już wewnątrz.

Byk skrzywił się, strącając grzbietem dłoni kryształki lodu z wąsów i brody.

- Co natomiast mamy, to sposób, w jaki zdobędziemy cel - ciągnął Kapitan. - Zaczniemy od tego, że strażnica ma bardzo ograniczoną obsadę. Na miejscu jest nie więcej niż około dwudziestka krasnoludów.

- Czemu?

- Mieli trochę własnych problemów - odparł dowódca. - Tak zapewnia Lord Lear i nie mam powodu mu w tej sprawie nie ufać.

Przypomniałem sobie zniszczoną leśną osadę i podejrzenia Daraeli.

- Ale czy dwudziestka krasnoludów, do tego za ich własnymi murami, nie wystarczy, żeby odpierać nas przez dowolną ilość czasu? - huknął Rast z samego końca grupy. W białym od okruchów lodu płaszczu wyglądał jak jakiś paskudny śnieżny gremlin.

- Normalnie tak - zgodził się Kapitan. - Mamy jednak dwa dodatkowe atuty. Po pierwsze, strażnica ma mocno uszkodzony południowy mur. Co prawda to za mało, żeby wejść tak po prostu, ale, i to po drugie, Lord Lear pomoże kilku z nas dostać się do wewnątrz. Wtedy przygotujemy liny dla pozostałych.

- Dekokt nadający pajęczą sprawność i zdolność wspinaczki nie jest bardzo trudny do sprokrowania - wokół nas rozległ się wielotonowy szept czarodzieja, który wyraźnie miał własne sposoby na wszechobecny świst wiatru. - Niesie jednak swój ciężar dla tych, którzy go skosztują. Możecie go mieć wiele. Ale powinniście używać... oszczędnie. I tylko ludzie o silnym umyśle.

- Dokładnie tak - podjął Kapitan. - Dodatkowo musicie pamiętać, że nawet kiedy wejdziemy już do strażnicy, trzeba liczyć się z tym, że krasnoludy będą czuwały i że są potwornie niebezpieczne. Dlatego każda dziesiątka zabiera ze sobą trzy ciężkie kusze. To one mają być naszą główną siłą ataku. Żadnych samotnych szarż, żadnych prób walki wręcz, jeśli da się ich uniknąć.

- Kapitan w nas nie wierzy - zaśmiał się sucho Rast.

- Kapitan wie, że nikt jeszcze nie zdobył krasnoludzkiej strażnicy - upomniał go dowódca. - I jeśli mamy to zmienić, to nie możemy sobie pozwolić na żadne ryzyko.

- Jasne - powiedziała Nellie, powoli kiwając głową. - Ja rozumiem, że od jego wysokości lorda czarodzieja otrzymamy te, no, dekokty, ale może też jakaś bezpośrednia pomoc? Czarami chyba byłyby sobie w stanie poradzić z krasnoludem lub dwoma bez trudu?

Lord Lear zmierzył tropicielkę przeciągłym, jakby zaciekawionym spojrzeniem, i uśmiechnął się. Zapewne planował uprzejmie, ale wyszło zdecydowanie przerażająco.

- Krasnoludzkich strażnic - każde słowo, rozlegające się w mojej głowie, zdawało się rozchodzić gdzieś w mózgu nieskończonym pogłosem - bronią nie tylko siła murów i oręża. Na to właśnie skieruję swoją uwagę.

- Znaczący wsparcia nie będzie - skostatowała Czarna Vexley.

- O wsparcie się nie martwcie - powiedział Kapitan, spoglądając znacząco na czarodzieja. - Jeśli będzie trzeba, to jestem pewien, że Lord Lear jakoś nam pomoże.

- Tak - szept był syczący i nieprzyjemny. - Jeśli tylko będzie trzeba.

- Jest jeszcze jedna rzecz - ciągnął dowódca, wiodąc po nas wzrokiem. - W naszych zapasach znajdują się zimowe mundury widyjskiej górskiej piechoty. Każdy z sierżantów ma dopilnować, by jego dziesiątka miała je założone, zanim ruszymy do akcji.

Kadra milczała. Wiedzieliśmy, po co były takie przebieranki - z pewnością Algrath nie chciało zaczynać swojej kariery wolnego państwa od problemów z krasnoludami. Jeśli mielibyśmy polec pod strażnicą, zapewne woleliby, żeby odpowiedzialność za atak spadła na Vidię. Inną sprawą było to, że gdybyśmy przypadkiem, jakimś cudem, trafili na prawdziwych Vidyjczyków, nie było szans, by uciec od stryczka lub jeszcze weselszych rozrywek. Przebieranki i prowokacje były w każdej szanującej się armii bardzo niemile widziane. Ale w zasadzie mogliśmy się tego spodziewać, kiedy pakowaliśmy się w taką robotę.

- Wyruszamy w godzinie wilka, przed świtem - Kapitan skończył odprawę, pozornie nie zwracając uwagi na reakcję na jego ostatnie zdanie. - Do tego czasu niech wszyscy choć trochę odpoczną i coś zjedzą.

Pokiwaliśmy głowami, ktoś się zameldował, przez szereg przeszło ponure i zdeterminowane „Jedno stado!”.

Kiedy wracałem do swojej dziesiątki i jej prowizorycznego obozu, na niebo wszedł księżyc, swoim błękitnym blaskiem oświetlając wirujący nad nami śnieg. Burza już wyraźnie osłabła, choć śnieg nadal padał grubymi i ciężkimi płatkami. W oddali, tak mi się w każdym razie zdawało, widziałem czarny zarys krasnoludzkiej fortecy, ponurej, zwalistej i niezdobytej.

11. W krasnoludzkiej strażnicy było coś, co sprawiało, że od razu dawało się rozpoznać, iż nie należała do świata ludzi. Samo patrzenie na nią budziło podświadomy lęk. Zdawała się niemal jednolitą bryłą, pozbawioną strzelnic i bram, do ludzkich budowli podobną jedynie dzięki blankom wieńczącym wyniosłe mury. Nie było też żadnej widocznej drogi czy ścieżki, która mogłaby do niej prowadzić - zupełnie jakby krasnoludy nie chciały nigdy ani opuszczać, ani zaopatrywać strażnicy - choć przecież wiedzieliśmy, że skądś musiała wyjść drużyna, która spustoszyła wioskę u podnóża gór. Nie było też widać ani jednego wartownika, światła czy choćby poblasku ponad wysokimi blankami. Mimo że większość kompanii była już mniej niż sto kroków od czarnej bryły twierdzy, nikt nie wyszedł, by z nami walczyć, nie brzmiały rogi, nie grały bębny, nie sypały się w naszą stronę bełty z kusz. Jedynym dźwiękiem był tu świst wiatru, a ruchem - wirujące wszędzie płatki śniegu.

Bez trudu odkryliśmy uszkodzenie muru, o którym mówił Lord Lear. Na niewielkiej powierzchni gładka ściana fortecy jakby eksplodowała potworną siłą, rozrzucając fragmenty umocnień daleko w śnieg. Powstała w ten sposób czarna szczelina zaczynała się kilka metrów nad ziemią i sięgała niemal ku szczytowi muru. Tędy mieliśmy wejść i być pierwszymi ludźmi, którzy zobaczą wnętrze krasnoludzkiej budowli.

- Mur, a do tego jeszcze duże straty w obsadzie. Jak myślisz - zapytała Czarna Vexley podczas ostatniego postoju przed atakiem - co było w stanie tak ich załatwić?

- Nie mam pojęcia. - Spojrzałem w stronę kryjącego nasze pozycje skalnego stopnia, za którym się zatrzymaliśmy. Wiedziałem, że za jego krawędzią zobaczyłbym monolit strażnicy i wypełnioną jakby żywą, świadomą ciemnością szczelinę.

- Nie Vidianczycy i nie my. - Nad szalikiem, kryjącym dolną połowę twarzy Czarnej Vexley, widziałem jej zaniepokojone oczy. - Więc co?

- Spytaj czarodzieja.

Sierżant parsknęła zirytowana i spojrzała w kierunku Leara, całkowicie pochłoniętego rozmową z tą piątką, która została wyznaczona przez Kapitana do sforsowania murów. Ten widok nie podobał nam się ani trochę.

Żołnierze dowodzeni przez Rasta napili się już z fiolek, które dał im czarodziej. Klęczeli teraz w śniegu naprzeciwko niego, a Lear mówił coś całkowicie niesłyszalnego w szalejącym wietrze. Wokół jego białych dłoni o długich palcach migotało upiorne, fioletowe światło, zdające się przepływać gdzieś pomiędzy nim a piątką Kruków. Spod kapturów oddziału Rasta emanował bliźniaczy fioletowy poblask. Sylwetki naszych lekko drżały, ale nie wiedziałem czy to kwestia zimna, strachu czy czarów Lorda Leara.

- Jesteście gotowi? - usłyszeliśmy głos podchodzącego Hageny.

- Trzecia sprawdzona i gotowa do szturmu - odpowiedziałem natychmiast.

- Ósma sprawdzona i gotowa do szturmu - zawtórowała mi sierżant.

- Doskonale. - Hagen poklepał po ramieniu najpierw mnie, a potem Vexley. - Kiedy się zacznie, trzymamy się razem i żadnych samodzielnych rajdów, jasne?

- Tak jest.

- Wiem, że robota się wam nie podoba - Hagen pochylił się tak, by być bliżej nas. - I mnie też nie. Tak szczerze mówiąc, te cholerne górskie karły to jak dla mnie za dużo niewiadomych. Ale skoro już ją mamy, zrobmy ją porządnie i miejmy z głowy.

- Jasne.

- Jedno stado - powiedział Hagen, uśmiechnął się wrednie i poszedł do pozostałych.

- Jedno stado - odpowiedzieliśmy niemal automatycznie.

Spojrzelśmy po sobie z tym samym lękiem. Hageny znaliśmy od dawna - zdawało się, że całe życie - i doskonale wiedzieliśmy, jak rozpoznawać jego nastrój. Przed bitwą zwykle był zirytowany i gderliwy, czasem wręcz wściekły, jeśli coś nie było wykonywane tak, jak polecili on lub Kapitan. Ale nigdy nie był przestraszony - do tego stopnia, że uznawaliśmy, że śmierć, w jego mniemaniu, w ogóle go nie dotyczy. Natomiast dzisiaj było inaczej, nawet jeśli najstarszy sierżant kompanii świetnie to ukrywał.

Nie powiedzieliśmy ani słowa, ale oboje wiedzieliśmy, że drugie też to zauważyło.

Kiedy tylko czarodziej był gotów z przygotowaniem naszych, zaczęliśmy ostatnią zbiórkę. Teraz Lear stał obok Kapitana - w miejscu, które zwykle zajmował nadal nieobecny Shav'naz - a wokół niego zgromadziła się piątka ludzi Rasta. Gdy już się zebraliśmy, czarodziej wykonał krótki, niemal niedbały gest - i choć wokół nadal padał śnieg i dął wiatr, tutaj nagle zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Ludzie spojrzeli po sobie z niepokojem.

- Ta noc - stojący przed Kruczą Kapitan przemówił półgłosem, ale w sztucznej ciszy był świetnie

słyszalny - przejdzie do historii kompanii. Tej nocy dokonamy czegoś, czego nie podjął się jeszcze nikt.

Nierówne szeregi odzianych w widyjskie mundury Kruków milczały. Nie odzywał się też Lear i towarzysząca mu piątka ludzi z Rastem na czele. Tak naprawdę wszystko już wiedzieliśmy. Zdążyliśmy omówić i mundury, i szyk, i sposób walki. Każdy Kruk miał świadomość znaczenia nadchodzącej godziny. Nie było tego wiele, ale więcej nie będzie. Nie taki był cel spotkania.

- Za chwilę zaatakujemy i zdobędziemy posterunek krasnoludów. Wiem, że wielu z was wątpiło, że to w ogóle możliwe. Wiem, że wielu z was wątpi nadal. Doskonale to rozumiem.

Powiódł wzrokiem po milczących szeregach.

- Ale jeszcze nikt nie miał do tego tak dobrych warunków jak my. Krasnoludów jest niewiele, ich niepokonane mury rozbite, a na ich magię - spojrzal na Lorda Leara - mamy swoją. Dzięki niej nie zabłądzicie w mroku korytarzy i nie zginiecie sami w ciemności tego miejsca. Dzięki niej to będzie równa bitwa.

Skinął głową i spojrzal na czarodzieja wyczekująco.

Lord Lear uniósł dłoń ku niebu, ku śnieżnej burzy. Przez chwilę zamarł tak, niczym groteskowy błądy posąg i wreszcie zaśpiewał. Jego upiorny, szepczący głos, zdawał się z każdą chwilą nabierać mocy, wzrastać, aż wreszcie stał się tak silny, jak wcześniej był świst burzy. Niemal fizycznie czułem, jak ogarnia nas zewsząd, jak wciska się nam do umysłu, jak - choć nie rozumiałem słów - niesie drapieżność i mróz, i głód, i ciemność, które żyłami przedostają się w każdy zakamarek ciała. Czułem, że moje serce bije coraz mocniej i szybciej, jego pulsowanie dudniło we mnie jak wojenne bębny. Widziałem, jak stojąca obok Daraela patrzy na mnie oczami nagle niemal świecącymi szafirowym ogniem, jak zza niej spoglądają kolejne pary błyszczących błękitnych punktów. Raptownie przestałem marznąć, a zamiast tego poczułem pulsujące płomienne gorąco głodu bitwy. Pieśń czarodzieja brzmiała i brzmiała, otaczała nas zewsząd, wibrowała w uciszonym zakłęciami powietrzu, w naszych wypełnionych gorącym żyłach, płynęła przez proste, spokojne i drapieżne myśli.

I nagle gdzieś z zewnątrz, gdzieś z wirującego śniegu i nocy, zabrzmiała druga, niewyraźna i odległa, ale jednak słyszalna, jakby wychodziła na spotkanie tej, która dobywała się z gardła Lorda Leara. Bardziej rzewna, słodsza. I choć nie potrafiłem rozpoznać słów czy melodii, było w niej coś zupełnie obcego, a jednocześnie pociągającego i groźnego.

Lord Lear usłyszawszy ją, przerwał śpiew, a na jego blade wagi wypełził drapieżny, absolutnie przerażający uśmiech. Zacisnął wyciągniętą w górę dłoń w pięść, błysnęła czerwonym ogniem spojrzenia i wskazał w stronę krasnoludzkiej strażnicy.

- Kruki! - huknął donośnie Kapitan. - Ruszajmy! To nasza noc!

- Jedno stado! - odpowiedział mu groźny krzyk setki gardeł.

I ruszyliśmy poprzez noc i świst burzy, biegiem ku widniejącej w mroku bryle fortecy. Nad nami nadal brzmiała pojedyncze, odległe nuty tęsknej, dziwnej pieśń obcego śpiewaka.

12. Pierwsi do strażnicy wpadli ludzie Rasta. Piątka Kruków, która przyjęła od czarodzieja jego dekolt, biegła po śniegu niemal nie zostawiając śladów, niepokojąco często wspierając nie tylko na stopach, ale i dłoniach. Najgorsze miało jednak dopiero nadejść. Kiedy dotarli do muru krasnoludzkiej twierdzy, żadne z nich nie zatrzymało się ani na moment. Wskoczyli po prostu na

ścianę, przylegając do niej wszystkimi kończynami, i zaczęli wspinać się tak szybko, jakby nadal poruszali się po ziemi. Ich ruchy tylko trochę przypominały ludzkie.

Kiedy my dotarliśmy do pionowego gładkiego muru – zimnego, jakby pochodził z zupełnie innego świata – z góry już rzucono liny i awangarda zaczęła się wspinać. Najpierw ludzie Hageny, potem Nellie, ja i w końcu Vexley. Ciemny kamień pod moimi wojskowymi butami zdawał się pulsować chłodem w rytm nierównych uderzeń serca, dłonie mimo rękawic ślizgały się na linie, a oddech rwał, kiedy patrzyłem na zbliżającą się czarną otchłań rany wyrwanej w murze twierdzy. Jeszcze pięć stóp, jeszcze trzy. Wreszcie dotarłem.

Postać, która wychynęła z ciemności i złapała mnie za rękę, była – musiała być – Rastem, ale sierżant nie wyglądał teraz tak jak on. Cerę miał pożółkłą, oczy zdawały się jednolicie czarne, z ust dobiegało ciche syczenie, a pozbawiona rękawicy dłoń wczepiła się w chroniący mi nadgarstek mundur. Spojrzał na mnie, dziwnie przekręcając głowę, i przez moment zdawało się, że wyszczerzył żarłocznie ostre jak igły zęby. Ale w jedno uderzenie serca wszystko minęło, Rast wciągnął mnie do wnętrza twierdzy i pobiegł dalej w mrok.

Miejsce, w którym się znalazłem, było zimne i ciemne, nawet blask księżyca z zewnątrz dochodził tu przytłumiony i blade. Mimo to byłem w stanie wyłapać kształty i krawędzie prostego tunelu o czarnych ścianach prowadzącego w głąb bryły strażnicy. Gdzieś z jego głębi dobiegała niewyraźna pieśń, prawie fizycznie widoczna w ciemności jako jasny, srebrny wąż.

Nieco bliżej dostrzegłem czekających ludzi Hageny.

- Trzecia i ósma, za nami! – krzyknął donośnie pierwszy sierżant kompanii i ruszył naprzód, w stronę, z której dobiegał dźwięk. – Nellie, przodem!

Nasza siódemka otoczyła Daraelę i dwójkę jej strzelców, by razem wstąpić w zimny mrok. Przez chwilę słyszeliśmy jeszcze okrzyki kadry zbierającej główne siły kompanii do marszu w stronę serca budynku, gdzie udawali się razem z czarodziejem. Potem wszystko to odeszło.

Korytarz biegł przez ciemność – jednocześnie całkowicie monotony, bez zdobień czy choćby szczelin strzelniczych, oraz nieprawdopodobnie kręty. Jakimś cudem byłem w stanie dojrzeć trasę – zapewne w wyniku czarów Lorda Leara – ale nie sprawiało to, że czułem się mniej zaniepokojony. Wnętrze strażnicy wyglądało bowiem jak element innego, całkiem obcego, świata. Byłem pewien, że – idąc cały czas wzdłuż prostej, zdawałoby się, ściany – tak naprawdę stale zakręcamy w iście demonicznym labiryncie, kilka razy, że się cofamy, a raz byłem niemal pewien, że idziemy po murze. Myśli uciekały gdzieś w dziesiątki nieprawdopodobnych kątów i załomów, oczy się gubiły, a ciało reagowało z dziwnymi opóźnieniami. Ktoś dostał torsji, ktoś inny przewrócił się i trzeba było go podnosić.

- Już prawie ją słyszę, już prawie – mamrotał za moimi plecami Cast, głosem monotonnym i głodnym, jak narkoman.

Prowadziła nas jedynie srebrna szarość niewyraźnej pieśni i idący przed nami ludzie Hageny – cały czas w dół i w dół. Byłem przekonany, że dawno już nie tylko zesliśmy na poziom gruntu, ale głęboko poniżej, do jakiejś strasznej, ciemnej jaskini, gdzie nie było już nic i że gdybyśmy przestali słyszeć zaśpiew, zostalibyśmy w ciemności na zawsze.

Wtedy z mroku wyszły krasnoludy. Najpierw pokazały się dwa, potem cztery, a w końcu okazało się, że było ich sześciu. Niskie postacie z wielkimi tarczami i młotami, w pancernych rękawicach, o twarzach ukrytych za pełnymi hełmami. Zdawały się całe zbudowane ze stali. Weszli w nas z boku, z korytarza, którego nie dostrzegliśmy, dokładnie w styk między dziesiątkami Hageny i moją, z impetem i szybkością, jakich się nie spodziewaliśmy. Zanim zorientowaliśmy się, co się dzieje, trzecia

została odepchnięta na bok i cała szóstka weszła w tarczowników Hagen, zadając niszczycielskie ciosy jednorącz trzymanymi, wielkimi młotami. Najbliżej stojący Angus przyjął cios na tarczę, ale osłona pękła – od jednego uderzenia – i wielki góral ryknął z bólu. Sam uderzył toporem, poziomo, tuż pod linią ciosu przeciwnika, ale broń tylko zazgrzytała na zbroi.

Drugiej szansy nie dostał. Obcy trafił go w bok, zabrzączała kolczuga, trzasnęły kości. Fiden wszedł w krasnoluda własną tarczą, ale nie udało mu się wytrącić go z równowagi. Zdążył uderzyć istotę w bok hełmu, ale tamten zwolnił tylko trochę. Brodaty, rosły najemnik krzyknął jeszcze, nim młot opadł na jego chronioną tylko stożkowym hełmem głowę. Uderzenie serca potem Ecce trafiła krasnoluda toporem mocno, z rozmachu, prawie w to samo miejsce, co przed chwilą Fiden. Stalowy wojownik tym razem się zatoczył i o mało nie przewrócił.

- Kusze! – ryczał Hagen. Wpadł z boku na tego, który właśnie walczył z Ecce, zasypał go ciosami. Krasnolud cofnął się, jakby skulił, a wtedy toporniczka uderzyła znów, obalając go na ziemię. Natychmiast przyskoczyła bliżej, stanęła nad obalonym wojownikiem, kolejne ciosy jej topora spadały raz za razem, a jej świecące szafirowo oczy jaśniały w bojowym szale. Krasnolud, jeszcze się osłaniający nie wydał żadnego głosu, nawet dyszenia czy krzyku – jakby faktycznie był golemem albo ożywioną zbroją.

Hagen nie czekał na efekt ataku toporniczki. Zostawił Ecce i rzucił się, by przeciąć pozostałym wrogom drogę do kuszników. Ale nie miał szans zdążyć. Olle zginął od razu pod szerokim ciosem napastnika. Matthias Złe Oko i Medina, jego najlepsi strzelcy, zdążyli wystrzelić tylko raz – dwa ciężkie bełty trafiły atakującego krasnoluda idealnie w szyję, jeden z nich wbił się głęboko i wojownik w szarej zbroi upadł na swą wielką tarczę. Ale następny krasnolud już nacierał i dopadł kuszników zaraz potem. Pierwszy z pary zginął Matthias – szybszy i bardziej doświadczony, prędzej wyciągnął miecz i stanął pomiędzy Mediną a atakującym wrogiem. Tamten jakby tego w ogóle nie zauważył. Młot zamienił głowę kaprała w krwawą miazgę, i kontynuując opadanie tym samym przerażającym łukiem, uderzył na ostatnią ze strzelców pierwszej dziesiątki, która w przykłęku nadal usiłowała załadować kuszę ciężkim bełtem.

- Wróg po prawej! – usłyszałem stłumiony wrzask Czarnej Vexley gdzieś zza nas.

- Daraela! – obróciłem się do mojej kuszniczki, ale to, co zobaczyłem, całkowicie mnie zmroziło. Druga grupa krasnoludów wyskoczyła z niewidocznego wcześniej korytarza, idealnie odcinając strzelców – naszych i tych z dziesiątki Vexley – od wsparcia reszty. Jeden z wrogów już zmusił Moirę do gwałtownego wycofania się, a teraz napierał na mnie i Casta. Jego wielki młot kreślił w powietrzu srebrzyste krzywe tak szybko i lekko, jakby był dziecięcą zabawką.

Nasi kusznicy, stojąc naprzeciwko nacierającego wroga, nie spanikowali.

- Biorę prowadzącego – szczerknęła krótko Daraela. Zmrużyła świecące magią Leara oczy, podniosła kuszę i wystrzeliła. Jej bełt wbił się dokładnie w wizurę najbliższego przeciwnika. Sunący na nią stalowy potwór zamarł i powoli wywrócił się na kamienną podłogę. Drugi pocisk – wystrzelony przez Kurta – przemknął obok głowy drugiego z krasnoludów, ale trzeci, Alyssy, trafił go z brzękiem w hełm. Istota jednak nadal szła ku niej, choć o wiele wolniej.

- Trzecia, chronić strzelców! – wrzasnąłem i dałem znak moim, żeby dołączyli. Jednak ci, którzy uderzyli na Hagen i nas, nie pozwalali na żaden manewr. Jakiegokolwiek umysły kryły się pod pancernymi hełmami, wiedziały, co robią.

Tuż obok mnie uderzenie młota spadło na Casta, który w ostatniej chwili zastawił się tarczą. Żołnierz zachwiał się, ale utrzymał równowagę. Jego kontra była podstępna, zabójcza i celna, prosto pod

pachę wroga. Mimo to - zbyt wolna. Krasnolud cofnął się, uderzył od góry prosto w ostrze. Broń najemnika z trzaskiem poleciał na ziemię. Cast miał w ręce toporek, zanim jeszcze brzęknął o kamień, ale znów musiał się cofnąć - niemal wchodząc już na ścianę. Rzuciłem się na pomoc, uderzyłem płasko i wysoko od drugiej strony. Próbowałem trafić w szyję, ale udało mi się ugodzić tylko naramiennik - poczułem przy tym, jakbym uderzył w mur strażnicy. Potwór zwrócił się w moją stronę, zdawało mi się, że pod hełmem błysnęły srebrne oczy. Pchnął tarczą tak silnie, że niemal się przewróciłem, a potem obrócił się, by sparować zabójczy cios Moiry, tak że jej ostrze tylko podbiło mu hełm. Dziewczyna spróbowała odejść w bok, ale błyskawiczny - jakim cudem oni w ogóle byli tak sprawni? - cios młota trafił ją dokładnie w biodro, w jednej chwili zamieniając je w krwawą miazgę. Moira wrzasnęła. Na szczęście krasnolud, zamiast iść za ciosem, nagle zamarł w miejscu. Ciśnięty celnie nóż Sierry sterczał mu z boku czaszki, dokładnie tam, gdzie uderzenie towarzyski podbiło istocie hełm.

Odbiłem się od ściany i skoczyłem w tył, w stronę kuszników. Niestety, na drodze stał już kolejny wojownik, a jego przerażający młot wykreślał w powietrzu srebrzyste linie. Nie miałem szans go ominąć czy odepchnąć. Daraela, Alyssa, Kurt i trójka strzelców Vexley, odepchniętej od nich gdzieś do tyłu, byli straceni - z rozładowanymi kuszami, naprzeciw trzech przeciwników.

I wtedy na drodze krasnoludów pojawiła się wracająca dziesiątka Nellie. Zwiadowcy, którzy szli przed całą grupą, nie byli dostosowani do walki z tak opancerzonym przeciwnikiem, ale sam ich impet i szybkość wytrąciła przeciwnika z równowagi. Wpadli na wrogów jak stado nietoperzy, zasypali gradem szybkich ciosów, wmieszali się pomiędzy nich. Krasnoludy nie mogły iść dalej ku Daraeli i pozostałym, musiały zająć się nowym przeciwnikiem. I zrobiły to - morderczo i skutecznie.

Widziałem, jak Norn pada z wrzaskiem po tym, jak cios wroga zahaczył o jego kolano. I jak krasnolud przechodzi po nim, stalowymi butami uciszając krzyk. Partha i Sude zginęli niemal jednocześnie, złapani w kleszcze przez dwóch tarczowników. Polegli Rohas i Uma, która potrafiła trafić gołębia ze stu kroków, a w ciemnych korytarzach strażnicy zdołała oddać tylko jeden strzał. Zginęli cichy Lars i łucznik Einar. Zginęła też sama Nellie. Zwiadowczynie robiła, co mogła, kręciła się jak fryga, cofała, zadawała cios za ciosem. Może by z tego wyszła, gdyby musiała po prostu walczyć, ale przecież osłaniała kuszników. Prowadzący krasnolud - większy od pozostałych, z bełtem Umy sterczącym z boku - trafił ją rantem tarczy w nos, a kiedy zatoczyła się bezwładnie, poprawił drugi i trzeci raz. Nellie, z krwawą maską zamiast twarzy, opadła na ścianę, a jej przeciwnik rzucił się naprzód. Nie wiem, jaką nieprawdopodobną przytomnością umysłu sierżant puściła broń, by z całej siły naprzeć na sterczący z boku krasnoluda bełt. Oboje upadli na ziemię. Żadne z nich już nie wstało.

Cała dziesiątka zwiadowców Kruczej zginęła w niemal dokładnie trzydziestu uderzeń mojego, dudniącego jak młot w kuźni serca. I ten czas okazał się bezcenny. Pierwszy krasnolud, który mógł wreszcie skierować się w stronę naszych strzelców, zrobił to o kilka uderzeń serca za późno. Dwa bełty przebiły mu hełm, a dwa kolejne ugodziły jego towarzysza.

- Ósmaaaaa! - ryczał ktoś z tyłu trochę w tryumfie, a trochę w panice. - Hurra!

Zobaczyłem czwórkę ludzi Vexley razem przyszpilających do ziemi kolejnego wojownika. Sama sierżant, ubabrana krwią, klęczała mu na klatce piersiowej i raz po raz wznosiła trzymany oburącz nóż, jakby składając jakąś groteskową ofiarę.

- Jedno stado!!! - wrzasnął ktoś z przodu, chyba Sachs Topornik.

- Jedno stado! - podchwycił ktoś inny, a potem następny i następny. Wkrótce cały korytarz rozbrzmiewał dudniącym zawołaniem krwawiącej, okaleczonej i mordującej wrogów Kruczej Kompanii. Zgodny wrzask górował nad szczękiem oręża i krzykami rannych i umierających.

Prowadząca nas dotąd pieśń zniknęła, ale teraz zupełnie jej nie potrzebowaliśmy.

Nie wiem, jak udało mi się to przeżyć. Pamiętam tylko siedzenie na zimnych kamieniach pośród ciał naszych i wrogów oraz głos mówiącej coś do mnie, nie mam pojęcia co, Czarnej Vexley. Pamiętam moment, kiedy magia Leara przestała działać i szare dotychczas korytarze załała ciemność. Pamiętam, jak rozjarzyły się ognie odpalanych łuczyw.

Pamiętam, że zwyciężyliśmy.

13. Trzydziestka Kruków zginęła podczas ataku na krasnoludzką twierdzę. Dalszych piętnastu było rannych tak paskudnie, że nie byliśmy pewni, czy z tego wyjdą. Połowa stanu kompanii okazała się niezdolna do walki po ataku z zaskoczenia na dwudziestu trzech – jak się okazało – krasnoludów.

Przez cały poranek przenosiliśmy rannych do miejsca zwanego przez Kapitana górną komorą, mającego służyć nam za lazaret. Z mojej dziesiątki trafiła tam Moira ze zmiążdżonym biodrem i Mały Percy, któremu cios krasnoludzkiego młota roztrzaskał ramię. Łata widział pewne szanse dla chłopaka, jednak Moira praktycznie niewiele różniła się od trupa. Ale przecież nie mogliśmy jej zostawić. Wylądowali tam Boros i Thul i Sayna i wielu innych, bliżej lub dalej śmierci. Teraz Łata, Literka i kilku z naszych rozpaczliwie usiłowało cokolwiek zrobić, by przynieść im ulgę. Zwykle pomagał w tym też szaman, ale teraz sam był jednym z pacjentów – zawinięty w koce i szary na twarzy, jego jedynymi znakami życia był nierówny oddech.

Naszyc zabitych znieśliśmy przed twierdzę. Musieliśmy to zrobić przez ten sam otwór w murze, którym atakowaliśmy. Mimo wysiłków nie znaleźliśmy ani mechanizmu otwierającego bramę ani nawet samej bramy. Chcieliśmy spalić ciała, jak mówił zwyczaj, ale na gołej skale drewno było na wagę złota i Kapitan stanowczo tego zabronił. Zamiast tego wybudowaliśmy dla nich kurhan z pozbieranyc w okolicy kamieni. Trzydziestka Kruków spoczęła w nim jeden obok drugiego, odziani nie w nasze mundury ale w barwy Vidii – nawet jeśli krasnoludy odkopią grób, miały nadal myśleć, że strażnicę napadły wojska imperium. Brzmiało to dla mnie bardzo nie w porządku wobec naszych, ale co było robić? Cieszyliśmy się chociaż, że spoczną pod gołym niebem, a nie w ciemnych i dusznych korytarzach krasnoludzkiego siedliska. Pożegnaliśmy się z nimi w milczeniu. Z Benedyktem i Craggenem, i połową dziesiątki Hagena, która przyjęła na siebie najsilniejsze uderzenie szarzy podziemnych wojowników. I z Mergiem Hazardzistą, i Rudą, i Finneasem. I z Nellie i jej ludźmi, których powrót uratował nam tyłki i którzy co do jednego przypłacili go życiem.

Wygraliśmy. Zrobiliśmy coś, czego jeszcze nikt nie zrobił. Ciekawe, na ile obchodziłoby to Umę czy Matthiasa Złe Oko? Jakie miałyoby to dla nich wszystkich znaczenie? Dla mnie jakoś nie chciało mieć.

Kapitan kazał nam również pozbyć się ciał zabitych krasnoludów. Te ułożyliśmy sto kroków od twierdzy – póki były bliżej, konie i kuce nie chciały nawet podejść pod ścianę fortecy, gdzie mieliśmy je wiązać – i nakryliśmy ich własnymi tarczami. Wtedy też razem ze Sierrą i Kurtem zdjęliśmy jednemu z trupów hełm. Krasnolud był podobny do człowieka, choć te różnice, które obserwowaliśmy, budziły w nas nieprzyjemny dreszcz. Jego twarz była tak blada, że prawie biała, pokryta błękitną siecią żył i malunkami przypominającymi znaki jakiegoś dziwnego alfabetu. Istota miała też długą, choć bardzo rzadką brodę i duże, mięsiste uszy. Oczy istoty były ogromne i białe jak pokryte bielmem. Były otwarte i przez to nawet teraz istota zdawała się na nas patrzeć, szczerząc wystające spod sinych warg ostre zęby.

- Szpetny – powiedział cicho Kurt.

- Inny – odparł Sierra. – Jak spotkasz następnego, zapytaj, jak ty mu się podobasz.

Szybko jednak założył trupowi hełm z powrotem i jakoś tak się stało, że staraliśmy się nie trzymać w

poblizu krasnoludzkiej mogiły.

Kapitan osobiście pogratulował każdej dziesiątce zdobycia strażnicy, jeszcze raz podkreślając, jak ważne dla Kruków było to zwycięstwo. Mówił to jednak z dziwnym brakiem przekonania. Widzieliśmy, że straty poniesione podczas ataku mocno go bolały, przez co zdawał się ciągle zatroskany. Wiele czasu spędzał w lazarecie Łaty, odwiedzając rannych i wypytyując o nich.

Cała kompania dostała tymczasowy rozkaz trzymać się jedynie trasy między szczeliną, którą weszliśmy, a górną komora i blankami – dla pewności oznaczoną pociągniętą w korytarzu liną i większością latarni, jakimi dysponowaliśmy. Wyjątek stanowili wartownicy i ci, którzy mieli asystować Learowi. Kruki przyjęły to z ulgą – po walce, przenoszeniu ekwipunku i ciał, wszyscy czuli się wyczerpani, a niektórzy – jak na przykład cała grupa Rasta – w ogóle nie mieli siły na nic.

Lord Lear za to wręcz przeciwnie: nie krył zadowolenia i wyglądał na doskonale wypoczętego. Krążył niczym jaśniejąca w ciemności zjawa po korytarzach zdobytego posterunku, poza zasięg rozstawionych przez nas latarni i snuł swoje zaklęcia, a srebrzyste, jaśniejące smugi zdawały się krążyć wokół niego, zataczać kręgi, wpełzać i wsiąkać w kamienne mury. Nie mieliśmy pojęcia, czemu to robił – wyglądało jednak, że tunele twierdzy, zdające się całkowicie zagmatwane i mylące podczas ataku, stopniowo przestawały być mrocznymi labiryntami o nieprawdopodobnej geometrii. Nadal były ciemne i groźne, nadal roztańczone na ścianach cienie zdawały się żyć własnym życiem, a gdzieś na samym krańcu słyszalności nadal brzmiały nieokreślone szepty. Ale stopniowo, godzina po godzinie, coraz łatwiej było się w nich poruszać. Vexley sądziła, że krasnoludy same miały tu jakąś magię ochronną, coś co sprawiło, że tak trudno było tu się poruszać i że obrońcy strażnicy byli w stanie nas tak łatwo zaskoczyć. Mogła mieć rację – choć na pytanie, na ile krasnoludy potrzebowały magii, by bronić posterunku, którego nikt nigdy nie atakował, ani ona, ani żaden z nas odpowiedzieć nie potrafił.

Dopiero późnym popołudniem Lord Lear wyszedł z tuneli, by odbyć naradę z Kapitanem, oficerami i Hagenem. Zaraz potem nasz dowódca wezwał do siebie Rasta oraz czwórkę pozostałych, którzy wypili magiczne dekokty, i nakazał im towarzyszyć czarodziejowi w wyprawie w głąb twierdzy.

Wieczorem znaleźli loch.

Kiedy tylko do niego zajrzeliśmy od razu byłem pewien, że nasze problemy dopiero się zaczęły.

14. Mimo zewnętrznej prostoty krasnoludzkiej twierdzy i czarów jakie przez pół dnia odprawiał Lord Lear, miejsce nadal zdawało się ciągle przekształcać, zmieniać kiedy tylko na nie nie patrzyliśmy. Te same korytarze nagle wiodły w inne miejsca, schody wyrastały tam, gdzie pamiętaliśmy pomieszczenia, a kamienne portale zdawały się otwarte lub zamknięte zupełnie bez żadnej reguły. Nawet kiedy oznaczyliśmy skrzyżowania kolorowymi szmatami, nie było nam łatwo poruszać się po fortecy. Byliśmy obcymi najeźdźcami. A z każdym czynionym tu oddechem byliśmy coraz bardziej pewni, że to miejsce o tym wie – i szczerze nas nienawidzi.

Dlatego nie wiedzieliśmy, jak głęboko pod skutą mrozem powierzchnią ziemi znajdowało się odnalezione przez zwiadowców miejsce. Nawet kiedy już znaleźliśmy drogę, a milczący ludzie Rasta rozpięli linę, która mogła nas do niego zaprowadzić, schodziło się tam długo. Tak długo, że człowiek tracił zupełnie orientację i rachubę liczonych w głowie kroków.

Wiedzieliśmy natomiast, że bardzo nie chcemy tam przebywać.

Był to długi korytarz, prosty i równy, o kamiennych ścianach wzmocnionych okuciami z nieznanego nam, wiecznie zimnego metalu. Co kilkanaście kroków po obu stronach tunelu znajdowały się mocne i ciężkie drzwi, każde zasunięte kilkoma sztabami z metalu podobnego do tego, z którego zrobiono

obicia. W każdych drzwiach wmontowano zatrzaskiwane metalową klapą okienko.

Wszystko było całkowicie monotonne i niezmiennie. Aż do miejsca, gdzie znaleźliśmy kilkoro obalonych wrót. Pancerne odrzwia leżały teraz na środku korytarza otoczone ośmiokątnymi obrysami pełnymi dziwnych malunków i czegoś, co mogło być literami obcego alfabetu.

W ścianie ziały czarne, wyrwane przez jakąś potworną siłę otwory prowadząca w mrok.

- Candor - rzucił Kapitan, kiedy oglądaliśmy to wszystko, moja dziesiątka i ludzie Byka. - Sprawdź środek.

Wskazał na najbliższy z otworów. Spojrzałem na niego niepewnie, a potem ostrożnie podszedłem do szerokiej wyrwy, ale po drugiej stronie nie było nic. Gęsta, niemal żywa ciemność zdawała się pożerać światło; zaledwie stopę od wejścia nic nie było już widać.

- Latarnia przygasa - rzuciłem za plecy. Myśl, że mógłbym się obrócić tyłem do ciemności, nawet nie przebiegła mi przez głowę.

- Może tam jest jakiś problem z przewiewem? - zapytał Byk.

- Może - zawtórował mu ktoś inny, chyba Barnett. Głosy obu Kruków były tu jakby przytłumione i zniekształcone.

- Podajcie linię, spróbuję tu wejść - powiedziałem niemal wbrew sobie.

Czułem, jak Byk obowiązuje mi mocny sznur wokół pasa, ale wzrok skupiłem na mroku przed sobą. Miałem nieprzyjemne wrażenie, że w pomieszczeniu coś jest. Coś, co patrzy teraz na mnie z ciemności. I śmieje się z żyjącego na powierzchni ślepego, który jest tu tak daleko od swojej domeny, tak bardzo wystawiony na żer...

- Hej? - Byk szturchnął mnie mocno w ramię. - Pytałem czy jesteś gotowy.

- Co?

- Język ci skołowaciał? - Za drwiną wielkiego sierżanta czał się niepokój. Byk też wiedział, że to nie było dobre miejsce.

- Nie, nie. Już idę.

- Melduj cały czas - usłyszałem głos Kapitana. - Jeśli tylko przestaniesz, Byk wyciągnie cię na zewnątrz.

Wszedłem do środka asekurowany przez Daraelę i trzymany przez Byka na obowiązanej wokół pasa linii. Wewnątrz było znacznie zimniej niż w korytarzu, a choć unosiłem latarnię wysoko nad głowę, jej światło sięgało niewiele dalej niż na stopę. To i kilka kolejnych kroków jednak wystarczyło, bym zobaczył tylną ścianę wnęki - kamienną, wzmocnioną metalowymi pasami, wzdłuż których wyryto drobne znaki przypominające z obrysu te znajdujące się w korytarzu. Do ściany przyczepiono też podobne kajdanom obręcze, zbyt jednak liczne, by mogły nimi być. Cały czas starałem się głośno relacjonować to, co widzę, ale nie miałem żadnej pewności, czy ktoś mnie słyszy - innej naturalnie niż to, że nikt nie ciągnął za linię. Aż do momentu, kiedy znalazłem rzeźbę.

Była metalowa i zdecydowanie wyższa ode mnie. Przedstawiała przerażającego pająkowego stwora o ostro zakończonych odnóżach i sterczących z pyska szczękoczułkach. Półokrągły stalowy pysk

istoty spoglądał na mnie zza kolejnych linii drobnych znaków.

Miałem właśnie o niej krzyknąć za siebie, ale wtedy, zrobiwszy krok naprzód – a może tylko przesuwając latarnię – zobaczyłem coś, co sprawiło, że przestałem mówić cokolwiek, tylko krzyknąłem, głośno i piskliwie, niczym przerażone dziecko, a nie dorosły chłop, sierżant w kompanii najemnej. Byk natychmiast szarpnął za linę, wywlekając mnie z ciemności na korytarz, pomiędzy pozostałe Kruki.

- Candor! – usłyszałem zaniepokojony głos Kapitana. – Candor, wszystko w porządku?

Spojrzałem na niego półprzytomnym wzrokiem.

- Candor, co się stało?

Korytarz, który spodziewałem się przywitać z radością, teraz nagle zaczął pokazywać mi swoje inne oblicze. Na przykład miałem wrażenie, że z obu jego stron słyszę szelesty i szepty, których wcześniej w ogóle nie zauważyłem. Nagle zdał się ciemniejszy i chłodny, niemal jak wnętrze celi, z której wyszedłem. Dostrzegłem, że grupa Rasta jest jakby trochę bardziej ściętniona przy sobie, rozglądając się czujnie wokół jak zapędzone w róg zwierzęta.

- Candor! – Byk wymierzył mi policzek. – Co ci jest?

Nic mi nie było. Byłem całkiem zdrowy – nie licząc bólu wywołanego policzkiem i wcześniejszym nagłym szarpnięciem. Nie było mi absolutnie nic poza tym, że tkwiło we mnie wspomnienie tego, co zobaczyłem w celi.

To, co brałem za rzeźbę, wcale nią nie było. Było pustym w środku stalowym sarkofagiem o mocnych zawiasach, obudowanym czymś, co musiało być zakłęciami. Bardzo dobrze obejrzałem sobie wnętrze przez rozerwaną na strzępy – od wewnątrz – jego tylną część.

15. Sprawdziliśmy pozostałe zniszczone pomieszczenia. Teraz byliśmy pewni, że były to cele. Były trzy i każda z nich zawierała podobny sarkofag. Podobnie zniszczone i niepokojące. Potem przeszliśmy dalej, wzdłuż korytarza. Powoli i z bronią gotową do użycia. Nie otwieraliśmy jednak żadnych drzwi, ale kilkakrotnie Kapitan kazał nam zajrzeć do środka przez niewielkie okienka. Po drugiej stronie dało się dostrzec tylko ciemność i zimno. W większości z nich.

W kilku przypadkach sytuacja była zgoła inna.

Daraela przysięgała, że zdawało jej się, że gdzieś w ciemności przez bardzo krótką chwilę widziała obserwujące ją gorejące pary oczu – wiele, wiele oczu. Byk był pewny, że słyszał szepty dochodzące gdzieś z wnętrza jednej z cel. Barnett mówił o świszczącym, chorobliwym oddechu. Z celi, do której zajrzał Mikkels, dobiegał z kolei całkowicie obezwładniający odór, a płomień zbliżonej do drzwi latarni nabrał niezdrowego zielonkawego koloru.

Kapitan wysłuchał każdego z nas, ale nie nakazał – na szczęście – otwierać żadnych z okutych drzwi. Ściągnął za to czarodzieja. Lord Lear był wyraźnie zainteresowany, słysząc o miejscu, które odkryliśmy. Natychmiast polecił prowadzić się w dół, a kiedy tylko tam trafił, nakazał nam pozostać przy schodach i ruszył wzdłuż – ciemnego teraz – korytarza powolnym, dziwnie nieludzkim ruchem, jakby nie stawiał kroków, ale unosił się tuż nad podłogą. Spodziewaliśmy się, że szybko zniknie w ciemności, ale nic takiego się nie stało. Nawet kiedy się oddalił, w mroku nadal byliśmy w stanie zobaczyć jego sylwetkę jak dziwnie powracający powidok, migotliwą pozostałość po czymś bardzo jasnym.

Kapitan, ludzie Byka i my przez cały ten czas trwaliśmy przy schodach, odruchowo garnąc się do skąpych kałuż światła, które nasze latarnie wycinały z zimnej ciemności tego miejsca. Obok stał Rast z oddziałem wchodzącym do strażnicy jako pierwszy. Szpetny, złośliwy człowieczek, od ataku na twierdzę dość nieswój, tutaj wyglądał wręcz jak na krawędzi paniki. On i jego ludzie stali co prawda w miejscu, które wyznaczył im Kapitan, ale miałem nieodparte wrażenie, że tylko jedna chwila lęku dzieli ich od ucieczki schodami na górę.

Po zdawało się nieskończonej półgodzinie czarodziej powrócił.

- Co to za miejsce? - zapytał go Kapitan.

- Bardzo cenne znalezisko, kapitanie Veth - powiedział szeleszczącym głosem i przez chwilę zdawało mi się, że ciemność za jego plecami porusza się w rytm tych słów. - Potwierdza ono, że miejsce, które mnie interesuje, również musi być gdzieś w tej strażnicy.

- Jakie to miejsce?

- Wszystko w swoim czasie. - Czarodziej przekrzywił głowę jak drapieźnik przyglądający się zdobyczy, a w jego oczach zabłyśły dziwne ogniki. Kapitan jednak nie dał się zastraszyć.

- Co jest w tych celach?

Czarodziej spojrział na naszego dowódcę długo i przeciągle. Wreszcie jakby podjął decyzję.

- Więźniowie, kapitanie Veth - powiedział swoim cichym głosem, sprawiając, że podziemny korytarz nagle zaczął nam się zdawać zimniejszy. - Jeńcy z tysiąca krasnoludzkich wypraw w głąb gór, ofiary ich ciągłej wojny o dominację.

- Czy są niebezpieczni?

- Te cele - powiedział Lord Lear - zostały stworzone przez najlepszych krasnoludzkich inżynierów i mówców. Mogę powiedzieć z absolutną pewnością, że nikt nie zrobiłby ich lepiej.

- A jednak... - ktoś mruknął, a przed moimi oczami pojawiły się rozbite drzwi w środku korytarza.

Czarodziej uśmiechnął się dziwnie. Wyciągnął przed siebie dłoń i tuż nad nią błysnął niewielki jasny ognek, który powoli poszybował wzdłuż korytarza. W przeciwieństwie jednak do światła latarni, jego blask nie zanikał, pochłonięty przez ciemność lochu. Jak oniemiała patrzyliśmy, kiedy płynął przez środek korytarza, oświetlając kolejne i kolejne drzwi. Wiele, wiele drzwi. A pośród nich te wyrwane. Ciemność wokół zdawała się cofać przed magicznym blaskiem, jakby była żywą istotą.

- To akurat jest bardzo dobra wiadomość, żołnierzu - wyszeptał. - To, że ta magia nie zawsze działa w pełni, pozostaje ważnym czynnikiem w naszych planach.

Zacisnął dłoń w pięść i światło zniknęło.

- Na razie jednak sugerowałbym zabezpieczyć to miejsce, kapitanie Veth - uśmiechnął się upiornie Lord Lear. - Będzie nam potrzebne... później.

Kapitan spojrział na niego - pierwszy chyba raz z autentyczną niechęcią - i skinął głową. Potem zwrócił się do nas.

- Zamontować tu dzwon alarmowy i trzymać zawsze przynajmniej piątkę wartowników, z czego dwójkę zaraz przy schodach. Rozstawić latarnie co dziesięć kroków, mają być przynajmniej o krok

odległe od każdych drzwi. Zmiany po cztery godziny, pierwszy wyznacza Byk, potem Candor, potem Vexley, resztę ustalę na górze.

Potaknęliśmy, nie ukrywam, z pewną ulgą. Dobrze było słyszeć rozsądne, trzeźwe słowa wojskowego, zamiast dziwnej i jakby całkiem obcej mowy Lorda Leara. Dopiero kiedy znieśliśmy na dół pierwsze dziesięć latarni i zapas skalnego oleju do nich, a Byk i czwórka wyznaczonych przez niego ludzi zajmowała niechętnie pozycje, Sierra spojrzął na mnie i zapytał

- A właściwie, panie sierżancie, czy dowódca mówił może – patrzył na mnie, a potem, z wyraźnym niepokojem przeniósł wzrok na korytarz – do czego to miejsce ma być nam później potrzebne?

16. Pytanie nożownika zostało ze mną przez długie godziny, ale mimo rozmyślań nie potrafiłem znaleźć na nie odpowiedzi. Nie miałem pojęcia, do czego mogła nam służyć upiorna krasnoludzka strażnica, w jaki sposób utrzymanie jej przez jakikolwiek czas – a co dopiero przez dwa tygodnie – miało przydać się sprawie Wolnego Królestwa Algrath, a tym bardziej do czego ma służyć nam upiorny loch.

Twierdza była zbyt daleko do przełęcz, żeby stanowiła realne zagrożenie dla kogokolwiek, kto nią podróżował. Nie miała dalekosiężnej broni ani nie pozwalała obserwować ruchów armii Vidii, może poza widoczną stąd doliną po drugiej stronie gór – ale nie było to szczególnie wiele. Zresztą przecież do takich działań mogliśmy założyć posterunek gdziekolwiek w okolicy trasy. Nie żebym jako najemnik nie był przyzwyczajony do tego, że nie mówi nam się wszystkiego. Ale zwykle potrafiliśmy się domyślić. A teraz ani moje doświadczenie, ani wiedza – podobnie zresztą Vexley, Byka, a nawet Hageny – nic nam nie podpowiadały.

- To pewnie jakaś magiczna sprawa – powiedział dowódca pierwszej dziesiątki. – Nie po to wlekiśmy tutaj tego czarodzieja, żeby przydał się tylko w walce. Cokolwiek ma się wydarzyć w tej strażnicy, to on za to odpowiada.

Całkiem możliwe, że sierżant miał rację. To jednak w żaden sposób nie pomagało. Lord Lear, teraz spędzający większość czasu albo w nowo odkrytym lochu, albo samotnie kręcący się po korytarzach strażnicy, z pewnością nie chciał dzielić się z nami swoimi planami.

W kompanii zaś niepokój rósł z każdą godziną. Moja zmiana na warcie w lochu minęła bez żadnych wydarzeń, ale przez cały czas miałem nieprawdopodobnie namacalne wrażenie, że ktoś jest tam z nami. Że gdzieś z zimnej, żarłocznej ciemności coś cały czas nas obserwuje, czeka na moment słabości. Na okazję do ataku.

Sierra twierdził, że słyszał kobiecy szept, Daraelę zaś ciągle bolała głowa. Cast nie mówił nic, ale sprawiał wrażenie jeszcze bardziej rozkojarzonego niż ostatnio. Alyssa dwukrotnie wystrzeliła z kuszy gdzieś w ciemność – nie potrafiła powiedzieć, dlaczego. Szukaliśmy bełtów, ale nigdzie nie potrafiliśmy ich znaleźć. Zupełnie jakby rozplynęły się w powietrzu.

Innym też było trudno. Rasen i Keith raportowali, że w ciemności ktoś śpiewał dziwną, obcą, ale bardzo piękną pieśń – mimo to pozostali na stanowisku. Żołnierze Byka prawie pobili się na posterunku, Otto i dwóch jego ludzi poszli w głąb korytarza, a potem nie pamiętali, dlaczego to zrobili. Rast prawie uciekł, razem z drugim ze swoich. Zatrzymał go dopiero Hagen, który schodził na inspekcję. Rast i pozostała czwórka jego wspinaczy w ogóle stawała się coraz bardziej niepokojąca. Od czasu ataku trzymali się oddzielnie, mówili krótko i burkliwie. Nie mogliśmy pozbyć się też wrażenia, że cały czas obwąchują każdego, kto do nich podchodził. Dwukrotnie znaleźliśmy ich w pomieszczeniu, w którym stoczyliśmy walkę z krasnoludami – leżeli z głowami przy kamiennej podłodze. Nie potrafili powiedzieć, co tam robili.

To miejsce powoli pożerało ducha bojowego, zamieniało zaprawioną w bojach Kruczą Kompanię w stado przerażonych i zdezorientowanych ludzi. Mało kto był w stanie jeść, a w zaadaptowanej na koszary wielkiej sali, tuż obok wyjścia na szczyt budowli, wielokrotnie w nocy rozbrzmiewały krzyki wybudzonych z koszmarów żołnierzy. Nie tylko szeregowi żołnierze mieli zresztą problemy. Z każdym dniem narady oficerów i czarodzieja zdawały się iść coraz mniej po myśli Kapitana. Często wychodził z nich wyraźnie zirytowany, a zawsze – ponury i zatroskany. Nie próbował już nawet udawać dobrego samopoczucia, tak jak zrobił to tuż po zdobyciu strażnicy. Próbowaliśmy pytać o to Hagen i pozostałych, ale ci w ogóle nie chcieli podejmować tematu. Co ciekawe, również i Lear wydawał się tracić swój początkowy upiorny entuzjazm. Nadal snuł się pogrążonymi w mroku tunelami, ale teraz jakby coraz bardziej niecierpliwie i nerwowo.

O świcie trzeciego dnia zmarła Moira. Ostatnie godziny życia spędziła już na rauszu wywołanym podanymi przez Łatę ziołami. Nie poznawała nikogo z Kruków, nawet ze swojej dziesiątki. Brała nas za matkę i młodszą siostrę Elwę. Bardzo dużo przeproszała, bogowie wiedzą za co. Trochę płakała. Mówiła też coś do leżącego obok nieprzytomnego Małego Percy'ego, ale zupełnie nie potrafiliśmy zrozumieć co.

Długo to trwało, ale przecież nie mogliśmy odejść.

Nagle wyraźnie powiedziała, że góry do niej śpiewają. I że musi iść za tym śpiewem. A potem zmarła.

Poprosiliśmy Kapitana o możliwość zakopania jej z pozostałymi Krukami. Potem długo staliśmy nad usypanym z kamieni kopczykiem. Powiedziałem kilka słów na pożegnanie, ale brzmiały sztucznie i dziwnie. Nie ma właściwych słów na umieranie. Nie ma w nim nic, co sprawia, że chce się mówić. Zresztą chyba nic, co robią wtedy żywi, nie jest właściwe.

Tej samej nocy w dolinie pojawiły się światła. Dziesiątki pochodni, niesionych przez czarny wąż ludzi. Nadchodziła vidyjska armia.

17. W jedną noc dolina po vidyjskiej stronie gór rozjaśniła się blaskiem ognisk rozpalonych w warownych obozach. Rozstawiono tysiące namiotów, a całe stada koni i kuców trzymano w – na szybko zbudowanych – zagrodach. Las dokoła jarzył się blaskiem pochodni maszerujących patroli.

Vidia wyraźnie nie chciała czekać do wiosny na jakiegokolwiek rozstrzygnięcia. Rozmiar nadciągających zastępów bez trudu widzieliśmy dobrze z naszej, stosunkowo odległej, strażnicy. Musiało być ich z piętnaście tysięcy, a może i więcej – nie licząc niekończących się taborów. Widok był absolutnie oszałamiający i zupełnie niezrozumiały. Nikt przecież dotąd nie prowadził wojny w zimie. To nie miało żadnego sensu. Czasem jakieś potyczki czy podjazdy, ale to wszystko. Oprócz – najwyraźniej – tego konkretnego razu, kiedy imperium Vidii szybkim marszem olbrzymiej armii postanowiło dowieść, że nie będzie tolerować buntu nawet przez kilka miesięcy.

Lord Lear i Kapitan, kiedy tylko dostali wiadomość o wojskach w dolinie, natychmiast zabrali Hagen i Literkę i spędzili wiele czasu na murach, obserwując powstające u stóp gór obozowisko. Coś też radzili, ale nie mieliśmy pojęcia, o czym. Wiedzieliśmy tylko, że Kapitan i Hagen zeszli z blanków jeszcze bardziej zasępieni niż zwykle.

Pojawiły się za to nowe rozkazy. Teraz już cała kompania, wszyscy poza Łatą, rannymi i tymi, którzy strzegli lochu, zostali wysłani w głąb ciemnych tuneli strażnicy z latarniami, narzędziami i surowym poleceniem, by szukać wszelkich przejść i korytarzy, o których jeszcze nie wiedzieliśmy. Nie mieliśmy pojęcia dlaczego, ale zarówno Kapitan, jak i Lear byli w tej sprawie bardzo stanowczy. Nasz dowódca wyglądał też na mocno zaniepokojonego, a towarzyszący mu Literka był tak przerażony, jakby na odprawie zmanifestowała mu się sama kostucha – choć zapewne rozmowa z Lordem

Learem niewiele się od takiej manifestacji różniła.

Wzięliśmy się do pracy i wkrótce wewnątrz strażnicy rozbrzmiewało pokrzykiwaniami oraz uderzeniami młotów i kilofów. Sprawdzaliśmy każdą ścianę, która zdawała się nam podejrzana, każdy ślepy portal i łuk. Kilofy i młoty z trudem robiły jakiegokolwiek rysy w potężnych krasnoludzkich murach, mimo to pracowaliśmy bez przerwy. Co jakiś czas przechodził między nami błąd Lear, milczący i nieomal eteryczny. Czarodziej zdawał się mieć cały czas zamknięte oczy i mógłbym przysiąc, że bardziej słuchał pracy niż obserwował jej efekty.

Do wieczora nie znaleźliśmy jednak nic - ani my, ani on. Kapitan był tym wyraźnie zafrasowany, ale meldunki przyjął ze spokojem. Wyzначzył jedynie warty, które miały go informować o ruchach widyjskich wojsk i zapowiedział wszystkim sierżantom, że rano zaczynamy prace znowu.

- Myślicie, że niedługo ruszą dalej? - zapytał Byk, kiedy razem z nim i Czarną Vexley siedzieliśmy na blankach, obserwując groźny taniec świateł w dolinie. To nie była nasza zmiana, tym razem wartą na murach dowodził sam Hagen, ale to miejsce i tak było lepsze od ciemnych kazamatów krasnoludzkiej twierdzy.

- A co mają robić? - wzruszyła ramionami Vexley. - Długo tu zostać nie mogą, bo przeżrą całe zapasy i będą głodować. Muszą przeć naprzód i liczyć, że w Algrath jest raczej mokro niż mroźnie.

- Ciekawe, ilu ich w ogóle dojdzie... - mruknąłem. Ostatecznie były powody do tego, by nie pchać się w zimowe kampanie.

- Obstawiam, że sporo - pokręciła głową sierżant. - Zaopatrzenie mają tutaj, przełęcz nie są całkiem nieprzebyte. Nie mówiąc o tym, że pewnie sami mają magów, i to więcej niż jednego, zatem lawiny raczej im niestraszne.

- Tak. - Byk spojrział w zamyśleniu w noc. - Myślicie, że po to tu jesteśmy?

- Po to, czyli po co?

- No wiecie. Żeby zatrzymać tych tam.

- Jedna przetrzebiona kompania? - Vexley aż parsknęła śmiechem. - Nie płacą nam aż tak dobrze.

- Oj wiesz, że nie my. Idzie mi o te... no wiesz, lochy. Te z celami - zwalisty, brodaty Byk był osobą, którą bardzo trudno było sobie nawet wyobrazić przestraszoną. Teraz jednak na jego twarzy wyraźnie widziałem prawie dziecięcy lęk. - Co, jeśli będą chcieli wypuścić to, cokolwiek tam jest, na Vidyjczyków?

Przyznaję, nie pomyślałem o tym, ale wizja istot podobnych do statui, którą odkryłem w pozbawionej drzwi wnęce, szarżujących w stronę doliny, sprawiła, że poczułam nagle paraliżujące zimno. Czarna Vexley przez moment jakby rozważała jego słowa, spoglądając to na dolinę, to na naszą strażnicę.

- Dziwne by to było, nie?

- Dlaczego?

- No bo, po pierwsze, ile tych stworzeń tu jest? Sto? Na taką armię pewnie nie wystarczy, i to nawet zakładając, że wszystkie od razu pobiegną w dolinę w równym oddziale i się na nich rzucą. A chyba ten nasz czarodziej jednak nie umie ich kontrolować, bo inaczej nie potrzebowałyby straży w lochu, nie?

- No, może.
- A to tylko jeden powód.
- A masz jakiś drugi?
- No my wiemy, gdzie te stworzenia są, prawda? - zapytała sierżant.
- Ano wiemy - przytaknął Byk.
- No to chyba nie musimy ich już szukać? - kobieta spojrzała na wielkiego brodacza, odgarniając z czoła czarne, lśniące włosy. - A tymczasem od rana nawalamy po ścianach młotami tak, że do teraz rąk nie czuję.
- Może musi znaleźć coś, co pozwala nimi rządzić... sam nie wiem - Byk rozłożył ręce. - Ale tego, że trafiliśmy tu z powodu tej armii w dolinie to akurat pewien jestem.
- Możliwe - zgodziłem się. - Zresztą może czarodziej próbuje znaleźć jakąś krasnoludzką księgę albo coś. Coś, co sprawi, że cokolwiek siedzi w tych celach, będzie go słuchało?
- Krasnoludom raczej nie pomogło nie?
- Dlaczego?
- No bo jakby umieli władać jakimiś innymi istotami, to chyba by to zrobili, jakeśmy im się w strażnicy pod bronią zameldowali? To był całkiem dobry moment, żeby wykorzystać swoją tajną broń?
- Zaskoczyliśmy ich może?
- Albo tu chodzi o coś zupełnie innego.

Byk wyraźnie nabierał właśnie powietrza, by dać nam poznać swoją kolejną teorię, kiedy nagle na mury wpadł Sierra.

- Sierzancie - powiedział, podbiegając natychmiast do mnie, wyraźnie zaaferowany. - Sierzancie!
- Wiem, że jestem sierżantem, Sierra - parsknąłem zirytowany. - Co się dzieje?
- Łacie udało się obudzić Shav'naza.

Wszyscy we trójkę spojrzeliśmy po sobie, a potem jak jedno poderwaliśmy się i pobiegliśmy w stronę lazaretu.

18. Shav'naz wyglądał jak trup. Był śmiertelnie blady. Pod pergaminową skórą zdawały się pulsować błękitne żyły. Jego oczy miały dziwny, żółty poblask.

Ale niewątpliwie był przytomny.

Zebraliśmy się wokół niego - my i tych kilku z naszych, którzy akurat byli w pobliżu lazaretu, Łata, no i Kapitan. Wszyscy patrzyliśmy na szamana z mieszaniną wyczekiwania i nadziei, jakby to oprzytomnienie miało z jakiegoś powodu całkowicie odmienić sytuację w strażnicy, wyleczyć rannych albo zlikwidować stojącą w dolinie widyjską armię. Szaman spojrzał po kolei na wszystkich, wreszcie na Kapitana.

- Zrobiłeś to – ledwo mówił, a jego głos brzmiał jak dwa trące o siebie kamienie.

- Tak – odparł spokojnie nasz dowódca. – Udało nam się zdobyć strażnicę.

Szaman zaśmiał się suchym, nieprzyjemnym rechotem.

- Wiesz, że nie o tym mówię – rzucił. – Oddałeś mu pełną kontrolę.

Spojrzeliliśmy po sobie, potem na Kapitana. Ten odetchnął ciężko.

- Shav'naz...

- Pozwalasz mu wszystko zniszczyć, ty cholerny idioto! – wrzasnął szaman i natychmiast zaniósł się nieprzyjemnym, suchym kaszlem.

- Wszyscy wyjść – powiedział dowódca kompanii cicho. – Łata, ty też.

- Ale...

- Natychmiast!

Niechętnie wyszliśmy z lazaretu, pozostawiając dowódcę samego z szamanem. Z pomieszczenia nadal słyszeliśmy gniewną rozmowę, ale słów rozróżnić się nie dało. Wpadło nam nawet na myśl, żeby spróbować podsłuchać, ale zanim to zrobiliśmy, w korytarzu nagle pojawił się Lord Lear.

- Jak rozumiem, wasz oficer odzyskał przytomność? – wyszeptał. Z jakiegoś powodu jego świszczący głos tym razem brzmiał nieprzyjemnie drapieźnie.

- Nasz szaman nadal jest chory – powiedziałem, stając, właściwie wbrew sobie, naprzeciwko niego. – Rozmawia z dowódcą i nikt nie powinien im teraz przeszkadzać.

Uśmiech Lorda Leara, szeroki i przerażający, odsłonił jego niezwykle białe zęby.

- Myślę, że będzie chciał ze mną porozmawiać.

- Za pozwoleniem, panie czarodzieju, myślę że nie.

Niemal poczułem rozchodzącą się po moim ciele falę zimna. Patrzyłem na stojącego krok ode mnie czarodzieja i zdawało mi się, że poprzez niego patrzy wprost na mnie pustka nieznanymi demonicznymi krainami, że słyszę wycie wichru na lodowych połaciach gdzieś na krańcach północy, że widzę ciemność środka ziemi. Nagle zdałem sobie sprawę, jak niewiele mogę zrobić, gdyby ten człowiek – czy też ta istota, bo to, czy był człowiekiem, nagle nie było wcale takie jasne – zechciał mnie skrzywdzić. Jak szybko nastąpiłby koniec? W moim umyśle pojawiły się setki scenariuszy na temat tego, co może się zdarzyć w ciągu kolejnych uderzeń serca, widziałem siebie, jak zamarzam i staję w płomieniach, widziałem, jak pochłania mnie ciemność lub jak odległa, niesiona przez wiatr pieśń, rozrywa mój umysł, zamieniając mnie w krzyżującego szaleńca. Widziałem siebie tonącego w czarnej, gęstej mazi i szarpanego pazurami jakichś obcych bestii.

Wreszcie poczułem uderzenie i zorientowałem się, że leżę na kamiennej podłodze korytarza, w moich ustach powoli dogasa krzyk, a wszyscy towarzysze patrzą na mnie z przerażeniem.

- Jestem pewien – powiedział cicho i przenikliwie czarodziej, stojący nadal dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wcześniej – że wasz Kapitan doceni pańską determinację. Z radością mu o niej opowiem.

Przeszedł obok mnie, nadal ze sztucznie uprzejmym uśmiechem przyklejonym do bladej twarzy. Teraz nikt go nie zatrzymywał.

- Czy ty zwariowałeś? – wyrzucił mi potem Byk, kiedy już siedziałem na schodach i piłem gorzałkę z jego bukłaka. – Chcesz się o niego zabić czy jak?

- Naprawdę myślałeś, że szaman chciał, żeby mu się wbijał w rozmowę?

- Jeden drugiego wart – prychnął wielki mężczyzna. – Obaj czarują, paktują z jakimiś nieczystymi mocami.

- Ale Shav'naz jednak jest nasz – włączyła się dotychczas milcząca Czarna Vexley. – W czary się bawi, ale jest Krukiem. Tamten... cholera wie, czym jest.

- Nie człowiekiem – usłyszeliśmy za sobą charkotliwy szept.

Obróciliśmy się jednocześnie, by spojrzeć prosto na chorobliwie poszarzałą twarz Rasta. Sierżant powoli podszedł do nas. Dłonie, o ciemniejszej niż zawsze karnacji i jakby dłuższych palcach, poruszały mu się miarowo. Kiedy szedł, miałem dziwne wrażenie, jakby jego krokom towarzyszyły odgłosy setek uderzających o kamień drobnych pazurów.

- Co ty mówisz Rast? – spróbowała Vexley.

- Nie pachnie jak człowiek – powiedział mężczyzna podchodząc bliżej. Ukucnął dwa kroki od nas, wyciągając ręce przed siebie jakby dla równowagi. Teraz dopiero zobaczyłem, że źrenice wypełniały mu większość oczu, jak czarne talerze. – Czuję ludzi. Jego nie.

- Wiesz, że to co mówisz, brzmi... dziwnie?

- Może. Nieważne, jak brzmi. Ważne, że to prawda.

Gdzieś, jakby w pogłosie tego, co mówił Rast, zdawało mi się, że słyszę delikatny, syczący dźwięk.

- Wyczuwasz takie rzeczy?

- Tak.

- To przez te eliksiry, którymi was poił? – domyśliła się Vexley. – To nadal działa?

Rast popatrzył na nią przeciągle. Całe jego ciało poruszało się, jakby był szykującym się do skoku kotem.

- Tak. I chyba już... – przez chwilę niski sierżant wyraźnie szukał słowa. – ... tak zostanie. Albo bardziej.

- W sensie – będziesz miał dobry węch? Umiał wspinać się na ściany?

Rast przechylił dziwnie głowę, prychnął, Przez chwilę zdawało mi się, że zobaczyłem ostre kły.

- Też. Tak. – powiedział wreszcie. – Ale również... głód. Pragnienie polowania. Ciemność.

- Ciemność?

- W środku – mężczyzna popukał się dłonią w pancerz. – Ciemność i pustka. Robię się... inny. Jakby

stary ja... płowiał. Teraz jestem... Wszyscy jesteśmy...

Przez chwilę wyraźnie się namyślał, po czym pokręcił głową z irytacją.

- Może trzeba pogadać z Kapitanem? Albo Shav'nazem? - Byk patrzył na towarzysza broni z wyraźnym niepokojem. - Przecież musi dać się to cofnąć, nie? Ten czarodziej to musi umieć zrobić?

- Mówiłem Kapitanowi - powiedział cicho i szeleszcząco Rast.

- I co?

Sierżant nadal patrzył przed siebie. W jakiś sposób fakt, że prawie nie akcentował słów i pozostawał nieustannie w dziwnym, miękkim ruchu, zdawał się bardziej przerażające nawet niż martwe czy dziwne długie palce.

- Czuł żal. Ale nadal jestem, jaki jestem.

- Do ciężkiej cholery, nie może przecież tak być! - Vexley podniosła się wyraźnie wściekła, ale zanim zdążyła coś zrobić, Rast wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał ją powstrzymać, i przekrzywił głowę, nasłuchując.

- Poluje.

- Kto u diaska?

I wtedy usłyszeliśmy rozpaczliwe, natarczywe bicie alarmowego dzwonu.

19. Dźwięk był ostry, nagły, odbijał się upiornym echem od ścian ciemnych tuneli fortecy. Dzwon grał przez cały czas, kiedy zbieraliśmy ludzi, rozbrzmiewał ponurym wezwaniem w chwili, kiedy moja trzecia dziesiątka, ósma Vexley i druga Byka rzuciły się w dół schodami, wzdłuż rozpiętych przy ścianach lin i kolorowych wstążek, którymi znaczyliśmy zakręty.

To nie mógł być przypadkowy alarm. Wiercący w uszach dźwięk musiał oznaczać, że warta - ludzie zabitego pierwszej nocy tutaj Cragenna - walczy, czekając na pomoc. Że gdzieś tam w ciemnym, chłonnym świątło i ciepło korytarzu coś się pojawiło. Nie chciałem myśleć, co. W mojej pamięci ciągle żywy pozostawał znaleziony w zniszczonej celi sarkofag o przerażającym kształcie. Nadal doskonale pamiętałem meldunki o szeptach niosących się korytarzami. Coś tam było, coś spowodowało alarm, nie było zwykłym przeciwnikiem.

Pokonaliśmy pierwsze zakręty, kiedy dzwon nagle zamilkł, a cisza, która nastąpiła po jego ostatnim uderzeniu, zdawała się bardziej oghuszająca niż wcześniejszy zgiełk. Tak jak biegliśmy, prawie dwudziestka Kruków, równie szybko zwolniliśmy, aż ostatecznie zatrzymaliśmy się na szerokich stopniach.

- Co teraz? - zapytał Byk niepewnie. - Cokolwiek to było, mogło już zabić naszych i być w drodze na górę.

- Albo nasi dalej walczą, tylko z dala od dzwonu - skrzywiłem się, ale sam również nie spieszyłem się do zrobienia kolejnego kroku.

- Nic się nie zmieniło - prychnęła Vexley, z wahaniem stawiając stopę. - Był alarm, musimy go sprawdzić.

- Alyssa, Kurt - rzuciłem przez ramię. - Kusze! Cast, Barnett, idziecie przed nimi.

Żałowałem, że nie było tu Daraeli, ale moja najlepsza kuszniczka siedziała na murach i obserwowała Vidyńczyków w dolinie. Przyznam, że gdzieś w głębi myślałem o tym, jak bardzo wolałbym być teraz na jej miejscu.

- Dajcie mi pochodnię. - Wyciągnąłem rękę do tyłu i - zdecydowanie za szybko - ktoś wcisnął w nią płonące łuczywo. Westchnąłem. - Chodźmy zatem.

Ruszyliśmy w dół, teraz wolniej i ostrożniej, z dobytą bronią. Przodem Vexley i ja, potem Byk i dwóch jego najlepszych ludzi. Cholernie nie chciałem być z przodu, ale kto inny miał prowadzić, jak nie sierżant? Miałem tylko nadzieję, że w migoczącym blasku ognia nikt nie widzi, jak bardzo jestem przerażony.

Powolnym krokiem, z dobytą bronią, pokonaliśmy ostatnie schody i korytarze, by wreszcie dotrzeć do stanowiska wartowniczego. Było ciemne i cuchnęło krwią oraz strachem. A dzwon i jego drewniana rama wywrócone były na kamienne płyty. Tuż przy nich leżało pierwsze ciało.

To był Vremer, jeden z najlepszych szermierzy kompanii i niekwestionowany mistrz fanfaronady. Vremer miał szczęście, bo najcięższy bój zawsze go omijał - nawet podczas zdobywania strażnicy nie udało mu się skrzyżować miecza z jej przerażającymi obrońcami. Wszyscy zawsze zastanawiali się, jak też się spisze, kiedy sytuacja naprawdę zrobi się ciężka. Teraz już nie musieliśmy. Vremer zginął na schodach, tuż koło dzwonu. Brakowało mu zuchwy, a jego ciało było tak rozszarpane, że nie wiedzieliśmy nawet, co zadało te rany. Miecz, pokryty śmierdzącą, czarną mazią, leżał u stóp mężczyzny w kałuży krwi, razem z oderwaną prawą ręką. W zaciśniętej lewej pięści ścisnął sztylet.

Ktoś zaklął paskudnie, ktoś inny splunął siarczyście. Ja natomiast patrzyłem w oleistą, jakby żywą, ciemność korytarza lochu.

- Czekamy? - spytał Byk z nadzieją w głosie.

- Na co? - warknęła Vexley.

- No na pozostałych.

- Nie ma sensu - zdecydowałem. - Strzelcy zostaną tutaj, razem z dwoma ludźmi Byka. Pochodnie dziesięć kroków od was. My idziemy dalej.

Krok po kroku ruszyliśmy w głąb korytarza. Czułem, jak wali mi serce, a zimne, cuchnące powietrze utyka w gardle. Każdy krok zdawał się nieprawdopodobnym wysiłkiem, dobytą broń ciężko ciążyła ku ziemi w nagle słabej dłoni.

- Gdzie reszta? - wyszeptał Sierra.

- Nie wiem.

Dokładnie w tym momencie zobaczyliśmy ciało Większego Laurenta. Rozpoznaliśmy go z łatwością po długim, rudym warkoczem. Teraz niewiele więcej dałoby się zidentyfikować. Żołnierz leżał na plecach, a cała przednia część jego tułowia, wyrwana z ciała jakąś potężną siłą, spoczywała kilka kroków dalej. Krótki miecz Większego Laurenta upadł na ziemię, pod jego stopy, a niewidzące jedyne oko na zakrwawionej twarzy wpatrywało się w sufit. Jednak nie to nas przeraziło.

Drzwi do celi przed nim były otwarte na oścież, a stalowe sztaby zdjęte i ułożone na podłodze lochu. Nie wyłamane i zniszczone. Otwarte. Jakby Większy Laurent sam z jakiegoś powodu zdecydował się zajrzeć do środka.

Z bronią w gotowości i duszami na ramionach zajrzeliśmy do wnętrza celi, ale ta była pusta. Nie było tu zupełnie nic – ani sarkofagu, jak w tej z wyrwanymi drzwiami, ani łańcuchów. Nic, tylko ciemność. Cokolwiek w niej zamknięto, z pewnością nie wróciło do wnętrza po tym, jak wyrwało się na zewnątrz i zabiło najemnika.

- Uciekło – wyszeptał Cast.

- Gdzie uciekło, stąd są tylko schody – uciszyła go Vexley. – Nie spotkaliśmy go na schodach. Musi nadal być gdzieś tutaj.

- Może jest niewidzialne? Albo jeszcze gorzej?

- Nie – pokręcił głową Sierra. – Musi być to widać, chociaż trochę.

- Skąd ta pewność? Widziałeś to?

- Nie musiałem – odparł z żelazną pewnością Sierra. – Vremer to dopadł, zanim zginął, widziałeś jego miecz? Na ślepo by tego nie zrobił.

- No ale – zauważyła Vexley równie pewnie – to znaczy, że jest gdzieś dalej.

Krok po kroku, obok niezliczonych drzwi, podążyliśmy dalej korytarzem, trzymając się jasnych plam światła wyciętych przez pochodnie. Krok za krokiem oddalaliśmy się od schodów i zostawionego przy nich światła, dawno zresztą pochłoniętego przez nietrzymającą się żadnych zasad żarłoczną ciemność tego miejsca.

Aż doszliśmy do kolejnych schodów, na samym końcu korytarza. Zatrzymaliśmy się, osłupieli. Wszyscy byli już przynajmniej raz w lochu i każdy świetnie pamiętał, że długi, pełen drzwi korytarz, kończył się ślepą ścianą. Tylko teraz już się nie kończył.

- Co to ma być? – prychnęła Vexley.

- Nie mam pojęcia. – poruszyłem dłonią i od razu wyczułem lekki podmuch, ciągnący z dołu. – Wieje.

- Słyszycie? – zapytał nagle Cast.

- Co takiego? – Byk obrócił się w stronę mojego żołnierza, przykładając dłoń do ucha. Spojrzeliśmy z Vexley po sobie. Korytarz był tu wręcz nienaturalnie cichy.

- Śpiew – odparł żołnierz, uśmiechając się z miną gdzieś pomiędzy zaskoczeniem a zachwytem. – Jest taki sam jak wtedy, kiedy... No, w obozie, na zewnątrz.

Spojrzałem na podwładnego.

- Wtedy, kiedy śpiewał czarodziej?

- Myślę – powiedział cicho Cast. – Że wtedy to nie był on.

Pokiwałem powoli głową i spojrzałem na stojącą przy mnie Vexley. Ta wzruszyła ramionami, bezradnie rozkładając ręce.

- Sierra?

- Sierzancie?

- Leć po szamana.

20. Nie czekaliśmy na szamana długo, ale – nie tak, jak chcieliśmy, ale w zasadzie tak, jak mogliśmy się spodziewać – przybył on w towarzystwie.

Nie minęło kilka minut, kiedy w korytarzu zobaczyliśmy blade światła, hipnotycznie lewitujące w ciemności, pełzające wzdłuż tunelu i rzucające na ściany dziwnie, roztańczone cienie. W ich świetle dało się wyróżnić postacie kilku Kruków, Kapitana, Shav'naza i, oczywiście, Lorda Leara. Skóra zdenerwowanego kapitana przypominała wosk. Z kolei wściekły szaman wydawał się purpurowy. Czarodziej zaś wyglądał na szczerze zadowolonego.

- Byk, mów – powiedział dowódca, kiedy tylko się do nas zbliżył.

- Jak zesliśmy do lochu, było już po wszystkim – powiedział zwalisty sierżant, co chwila zerkając z niepokojem na ziejący w ścianie otwór. – Znaleźliśmy Vremera na stanowisku przy schodach i Większego Laurenta przy jednej z cel, obu martwych, tak jak ich teraz pan Kapitan pewnie zobaczył. Wyglądało tak, jakby Laurent otworzył drzwi celi sam, a coś...

Wielki mężczyzna zająknął się na chwilę, patrząc w głąb korytarza, gdzie leżały ciała.

- ... a coś wyszło stamtąd i zabiło i jego, i Vremera. Ale nie wiemy co, nie widzieliśmy tu żadnej żywej istoty ani w celi, ani nigdzie. Tylko to.

Gestem wskazał na otwór w ścianie.

- Cast twierdzi, że dochodzi stamtąd śpiew – dodałem, patrząc znacząco na szamana. – Mówi, że już kiedyś taki słyszał.

Oczy Shav'naza rozszerzyły się lekko i niski mężczyzna spojrzał na Casta z wyraźnym niepokojem. Kapitan zaś zmarszczył brwi i przez chwilę nasłuchiwał.

- Nic takiego nie słyszę. Cast?

- Cały czas. – Żołnierz z mojej dziesiątki był wyraźnie skonfundowany, a wcześniejszy zachwyty zniknął, zastąpiony przez lęk. Podeszedł najpierw do dowódcy, jakby chciał się upewnić, że z miejsca, gdzie ten stał, słyhać tak samo dobrze, potem znów do otworu. – Odkąd tu podeszliśmy. Ja nie wiem... Nie wiem, dlaczego...

- To otchłań. – Usłyszeliśmy głos milczącego dotychczas Lorda Leara. Zimne oczy czarodzieja zdawały się niemal jarzyć, a w głosie brzmiała dziwna melodia. – Otchłań cię woła, żołnierzu.

- Co?

- Spokojnie Cast, nic się nie dzieje. To jakieś czary i pewnie jedni lepiej je wyłapują niż inni – powiedział Kapitan i poklepał wysokiego mężczyznę po ramieniu. Spojrzał na Leara. – Czy można tam zejść?

- Trzeba – zabrzmiały wieloma głosami słowa czarodzieja.

- Rozumiem – skinął głową nasz dowódca. – Nie ma zatem co czekać. Prowadzi Byk, potem Candor, my, w tylnej straży Vexley. Tarcze na zewnątrz i trzymamy się razem. Jedno stado!

Przez oddział przeszła fala niepewnych podchwyceń okrzyku kompanii i ruszyliśmy w dół.

- Ty z tyłu - powiedziałem jeszcze Castowi, zajmując jego miejsce w szyku.
- Sierzancie? - zapytał zaniepokojony.
- Wolę, żeby ktoś zaufany pilnował szamana, a ty jesteś u nas najlepszym wojownikiem.

Skinął głową i ruszył na tył, w stronę oficerów, a ja skierowałem się w dół, za prowadzącą nas drugą dziesiątką Byka.

Kłamałem. Nie sądziłem, żeby Shav'naz był bezpieczniejszy, kiedy Cast będzie w jego pobliżu. Ale wydawało mi się, że to Cast może być w lepszej sytuacji, stojąc obok kogoś, kto zna się na magii. Widziałem bowiem spojrzenie, które rzucił nasz dowódca, uspokajając mojego podwładnego. Widziałem wyraz twarzy szamana. I drapieżny uśmiech czarodzieja. I wiedziałem, że Kapitan nie powiedział Castowi prawdy.

Schody nie były długie i razem z całym korytarzem sprawiały wrażenie innych niż reszta strażnicy - nie wiem, czy wynikało to z ich szerokości, czy innej faktury ścian? Trudno było oprzeć się wrażeniu, że ten fragment strażnicy powstał w innym czasie niż część, którą widzieliśmy dotychczas.

- Dlaczego w ogóle nie znamy tego korytarza? - zapytał ktoś, chyba Sierra.
- Zapewne krasnoludy chciały go ukryć. - głos Shav'naza był ponury jak zimowa noc. - To ich strażnica, wiedzą, jak to zrobić.
- W takim razie - Byk obrócił się na moment, ale natychmiast wrócił do obserwacji rozświetlonych magicznym blaskiem stopni - dlaczego widzimy go teraz?
- Może to bydlę, które rozszarpało naszych, coś zepsuło? - zasugerowała Vexley.
- Świetnie...

Przerwał, bo przed nami korytarz otworzył się na rozległą komorę, na tyle dużą, by blask magicznego światła nie sięgał do jej ścian. Te najbliższe nas nie były gładkim kamieniem murów krasnoludzkiej strażnicy. Były nierówne i spękane jak jaskinia.

- Skarbiec - wyszeptał ktoś, kiedy oddział ostrożnie wkroczył do wnętrza.
- Wszyscy rozglądać się - rozległ się twardy głos Kapitana. - Pamiętajcie, że gdzieś tu może ukrywać się to, co załatwiło naszych na górze.

Ledwo jego głos zdążył przebrzmieć, kiedy usłyszałem cichy szelest szeptu Lorda Leara i płynące przy nas ogniki wystrzeliły w górę, rozbłyskując niczym strzelające iskrami ognisko. Nagle komora, zalana dziesięciokrotnie silniejszym niż wcześniej światłem, roztańczyła się w ruchomych blaskach i cieniach, rzucanych na nierówne ściany.

Zaledwie kilka kroków przed nami leżało w kałuży ciemnej, niemal czarnej krwi ciało zakutego w zbroję krasnoluda. Nie mógł zginać dawno. Jego zbroja była powgniatana i rozerwana w kilku miejscach, hełm wyglądał jak przybity do czaszki. Młot, podobny do tych, jakie pamiętaliśmy ze strasznej nocy zdobywania posterunku, leżał obok, na ziemi, zaraz przy wielkiej prostokątnej tarczy.

Kilkanaście kroków dalej leżał też jego zabójca.

Istota spoczywała przy płycie z czegoś, co mogło być kamieniem, na którym ktoś stałą wykreślił kanciaste ścieżki krasnoludzkich glifów. Stwór wyglądał, jak uciekinier - nie, jak najeźdźca - wprost

z najstraszniejszych koszmarów, jakie wyśnić mógł naprawdę znienawidzony przez bogów człowiek. Był czarny i lśniący, o podłużnej, pozbawionej oczu czaszce, ostrych zębiskach i giętkim ogonie, zakończonym czymś w rodzaju żądła. Ostre pazury musiały być zdolne rozedrzeć metal, a ciało przypominało mi wielkiego owada.

I była martwa, choć nie mieliśmy pojęcia dlaczego.

Ostrożnie wyminęliśmy ciało krasnoluda i podeszliśmy do zabitej istoty, z bronią gotową do walki i przerażającym przeświadczeniem, że gdyby stwór nagle poderwał się i rzucił na nas, miecze zapewne nie zdałyby się na wiele. Z bliska stwór wyglądał jeszcze gorzej i myśl, że był ostatnią rzeczą, jaką zobaczyli Większy Laurent i Vremer, była dla mnie dziwnie odstręczająca.

- Chyba nie ten gość ją dopadł - zauważyła Vexley, ostrożnie kucając przy istocie. - Właściwie to coś w ogóle nie wygląda na ranne.

Sierżant nie wyglądała, jakby ciała - jedno lub drugie - robiło na niej wrażenie, przynajmniej nie na pierwszy rzut oka. Tylko fakt, że nadal trzymała w zaciśniętej dłoni miecz, sugerował co innego.

- Bo to nie krasnolud je zabił. - Nieprzyjemnie blady szaman stanął nad nami, tylko krok przed nadchodzącym Kapitanem. - Zrobiła to magia wrót.

- Wrót? - zdziwiłem się, a Shav'naz wskazał zdecydowanym gestem na kamienną płytę. - To są wrota?

- Zranione zwierzę ucieknie tam, gdzie myśli, że jest bezpiecznie - usłyszeliśmy pełen grających unisono melodii głos Lorda Leara. Czarodziej obchodził właśnie to, co szaman nazwał wrotami. - To uciekło tutaj. Pokonało strażnika. Ale nie mogło umknąć dalej.

Spojrzałem na krasnoludzkiego trupa. To, co mówił czarodziej, sugerowało, że sterczał tu jak kołek bez jedzenia i wody od czasu kiedy zdobyliśmy strażnicę - zapewne czekając na moment, kiedy ktoś pojawi się na prowadzących do komory schodach. A kiedy ta istota - czymkolwiek była - zesłała tu, stoczył z nią walkę. Sam, w ciemności komory. Musiałem przyznać, że poczułem nagły szacunek do samotnego krasnoluda, przedstawiciela całkowicie obcej, niezrozumiałej dla mnie rasy.

- Nadziało się na jakieś czary?

- Pieczęcie - powiedział cicho Lord Lear, nadal krążąc wokół kamiennej płyty.

- Krasnoludy musiały bardzo nie chcieć, żeby dało się przedostać na drugą stronę tych wrót - powiedział z naciskiem Shav'naz, spoglądając to na Kapitana, to na czarodzieja.

Dowódca Kruków podszedł do leżącego na podłodze koszmaru, przez chwilę przyglądał mu się dziwnym, potwornie zmęczonym spojrzeniem. Potem jakby ocknął się, przeniósł wzrok na szamana i kiwnął głową.

- Lordzie Lear - powiedział cicho. - Mam nadzieję, że mogę liczyć na pana w sprawie tego miejsca.

- Zajmę się nim bezzwłocznie. - W głosie czarodzieja brzmiały drapieżne nuty.

- Doskonale. Panie Shav'naz?

- Dowódco?

Przez długą chwilę zdawało się, że Kapitan chce coś powiedzieć, ale wyraźnie zaciął się, niezdecydowany.

- Proszę zabrać Casta - powiedział w końcu i byłem pewien, że nie to planował. - I zorientować się, co się z nim dzieje.

Szaman spojrzał na niego spode łba, ale skinął potakująco.

- Byk, zakładasz pierwsze stanowisko wartownicze na szczycie tych schodów, przynajmniej dwie osoby. Reszta zabieramy się stąd. Nic tu po nas.

- Co? - zapytała Vexley wyraźnie zaskoczona. - Za pozwoleniem, panie kapitanie, jak to nic tu po nas? A co z otwieraniem drzwi do cel? Jeśli tam się działy jakieś czary? A jak drugie takie coś spadnie ludziom Byka na plecy?

- Trzymajcie się z dala od cel. I w razie czego, wzywajcie Lorda Leara.

- I to tyle?

- Na razie to tyle, Vexley - głos dowódcy stwardniał. - Na górze, z resztą kadry, zastanowimy się, co robić dalej.

Trudno mi było powiedzieć, czy bardziej martwiłem się tym, że Kapitan pozostawia w komorze czarodzieja bez żadnego nadzoru, czy cieszyłem, że reszta oddali się z tego miejsca. Zaczynałem podejrzewać, że Lord Lear mógł mieć wiele wspólnego z wypuszczeniem potwora - bo przecież nie było opcji, żeby Większy Laurent z własnej woli otworzył celę.

- Kapitanie? - zapytałem. - A co z resztą naszych?

- Resztą?

- Warta tutaj miała pięć osób. Brakuje Cass, Fabiana i Kawki. Nie widzieliśmy ciał ani...

Kapitan spojrzał na mnie przeciągle i westchnął.

- Nie musisz się o nich martwić - powiedział wreszcie. - Spotkaliśmy ich na górze. Kawka poczuł się fatalnie i pozostali nieśli go do lazaretu, kiedy...

Wzruszył ramionami.

- Zostawili Laurenta i Vremera samych?

- W tych okolicznościach być może to i dobrze? Ale i tak będę musiał z nimi porozmawiać.

Odwrócił się i ruszył naprzód, wyraźnie kończąc tym rozmowę, a ja zostałem sam na schodach, nagle czując, jak zalewa mnie fala podejrzeń. Nie chciało mi się wierzyć w wytłumaczenie, jakie tamci podali Kapitanowi. Nie chciało mi się wierzyć, że Kawka akurat wtedy poczuł się źle. I to na tyle, by potrzebować aż dwóch osób, by odeskortaowały go po schodach, pozostawiwszy na stanowisku pozostałych dwóch żołnierzy. Wietrzyłem w tym robotę czarodzieja.

I nie wiem, co martwiło mnie bardziej - czy to, że Kapitan też musiał podejrzewać to samo, ale mimo wszystko pozostawił maga samego, bez nadzoru szamana, czy to, że kiedy dowódca odchodził, wydawało mi się, że z jego ust słyszę ciche, ponure nucenie.

21. Cass znaleźliśmy na blankach twierdzy. Wysoka, jasnowłosa wojowniczką, o twarzy przeciętej nieprzyjemną blizną od skroni aż po zuchwę, obserwowała płonące w dolinie ogniska. Stała kilkanaście kroków od trzymających wartę Hagena i Daraeli i nie wyglądała na chętną do rozmowy.

W zasadzie nie wydawała się chętną do czegokolwiek.

- Nie zamierzam z wami o tym gadać - warknęła, kiedy zapytaliśmy ją o wydarzenia w lochu. - Dopiero co musiałam rozmawiać z Mniejszym Laurentem, mam teraz wszystkiego dość.

- Wiem, że nie chcesz. Ale my musimy wiedzieć.

Spojrzała na mnie wrogo, ale milczała. Uznałem to za zachętę.

- Co się stało z Kawką? - zapytałem.

- Poczuł się źle - w jej głosie dało się wyczuć złość. - Mówiłam przecież już Łacie. Czuł się źle i musieliśmy go zabrać na górę. Teraz leży w lazarecie, ale pewnie z nim jeszcze nie można gadać.

- I tak nagle go rozłożyło? - zapytałem, stając obok niej. Spojrzałem w dół. Vidyjska armia opanowała już całą dolinę, a jej wysunięte posterunki sięgały prawie pod przełęcz. - Nie był przecież ranny ani nic.

- Nie znam się na tym - Nie obróciła się w moją stronę, nadal wpatrzona w odległy blask ognisk. - Jak mi się człowiek zaczyna związać z bólu, to prowadzę go do Łaty. I dokładnie to zrobiłam.

- Mieliście sporo szczęścia - zauważył Sierra. - Jakbyście byli w lochu, to to bydlę z celi pewnie załatwiłoby i was.

Nie odezwała się.

- Zupełnie - kontynuował Sierra - jakby to nie był przypadek...

Nie zdążył dokończyć, bo Cass obróciła się błyskawicznie i, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, złapała go za szyję. Służyła na pierwszej linii i była w cholerę silniejsza od nożownika Sierry, więc bez trudu przyciągnęła niższego mężczyznę do siebie.

- Przemyśl, gnoju, swoje następne słowa, bo cię będą zbierać spod tej grani - syknęła.

Wiedziałem, co Sierra miał na myśli - i wiedziałem, jak dużym błędem było sformułowanie tego w taki sposób. Cass była Krukiem niemal fanatycznym. Kompania była dla niej całą rodziną i nigdy by jej nie zdradziła, a każdą taką sugestią traktowała jak śmiertelną obrazę.

- Hej, spokojnie - uniosłem ręce w pokojowym geście, patrząc jak Sierra bezradnie próbuje rozewrzeć zaciśnięte na krtani palce wojowniczkii. - Wszystko w porządku, nie ma potrzeby.

- Pilnuj swojego szczura, Candor - powiedziała, patrząc prosto w przerażone oczy Sierry. - Bo wydaje się, że nie wie, co zrobić z językiem.

- Nikt cię nie oskarża. Sierra też nie.

- Serio? - uśmiechnęła się ponuro.

Nożownik gwałtownie pokręcił głową, nadal próbując złapać oddech. Cass jeszcze raz zmierzyła go wzrokiem i puściła. Niski mężczyzna odsunął się od niej, ciężko dysząc. Kątem oka dostrzegłem ruch - to stojąca w drugiej części blanków Daraela spokojnie opuszczała kuszę, przed chwilą jeszcze wymierzona w Cass. Nawet nie dostrzegłem, kiedy ją podniosła.

- No to co macie na myśli?

Westchnąłem ciężko, przypominając sobie loch i nieprzyjemną ekscytację Lorda Leara. Spojrzałem na Vexley, a ona odpowiedziała krótkim skinieniem.

- Czarodzieja - powiedziałem.

Cass uniosła pytająco brew, wyraźnie zaskoczona.

- Nie wydaje ci się, że to aż za wygodne dla niego? - zapytałem, obracając się z obawą, że Lord Lear gdzieś tu stoi i przysłuchuje się rozmowie. Oczywiście nie było go. - Kawkę nagle zaczyna coś boleć, aż trzy osoby schodzą ze stanowiska, a potem od razu to? Wiesz, że Większy Laurent wyglądał, jakby sam otworzył celę z tym paskudztwem? Wyobrażasz sobie, żeby to zrobił bez powodu?

Milczała przez długą chwilę. Raz czy dwa wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale za każdym razem rezygnowała.

- Bez powodu to nie - przyznała ostatecznie ponuro.

- No właśnie - podjąłem. - No i wiesz, to nie jest tak, że tutaj jest jakoś dużo osób, które potrafią jednocześnie zesłać na kogoś bóle i rzucić urok. A Shav'naz, kiedy Cass i jej ludzie schodzili do lochu, był jeszcze nieprzytomny.

- I myślicie, że to czarodziej?

- Widziałem go w tej komorze pod lochem - powiedziałem. - Był zadowolony jak rekrut w zamtuzie, nawet obiecał Kapitanowi, że tam zostanie i zbada to miejsce. Dam sobie rękę uciąć, że o to chodziło mu od początku.

- Żeby tam wejść?

- Żeby w ogóle tam trafić - poprawiłem ją. - Przecież my tu chodzimy i wężymy za przejściami odkąd zdobyliśmy twierdzę. I nagle z celi ucieka bestia i mu je znajduje.

- Znaczy, że ją kontrolował?

- „Zranione zwierzę ucieknie tam, gdzie myśli, że jest bezpiecznie. To uciekło tutaj.”. Tak powiedział - odezwała się milcząca dotąd Czarna Vexley. - Może po prostu wiedział, że ten stwór zaprowadzi go do celu?

Rosła wojowniczką spojrzała spode łba najpierw na nią, potem na mnie, wreszcie na Sierrę. Widać było, że nie chce przyjąć wytłumaczenia Vexley, że w jakiś sposób jest ono - z jej punktu widzenia - czymś absolutnie niedopuszczalnym.

- Może - stwierdziła wreszcie po wyraźnej walce ze sobą. - Sama nie wiem.

- Może jest sens pogadać o tym z szamanem - powiedziałem spokojnie. - Wiesz, żeby się zabezpieczyć.

Kiwnęła krótko głową.

- Zobaczę. A teraz, spadam stąd.

- Hej, Cass. Jedno stado, pamiętaj.

- Tak - potwierdziła cicho. - Jedno stado.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu w jej oczach zobaczyłem łzy.

Kapitan zamknął się w jednym z pomieszczeń z Literką i szamanem i długo stamtąd nie wychodzili. Słyszeliśmy dobiegające zza drzwi odgłosy najpierw ożywionej dyskusji, potem kłótni, wreszcie ponurego zawodzenia rytuałów Shav'naza. Dostać się tam jednak nie mogliśmy – przed wejściem stał sam Hagen, wielki i nieustępliwy. Nerwowy i wyraźnie zaniepokojony Rast kilka razy próbował wejść, ale i on został odprawiony z kwitkiem.

Czarodziej nie uczestniczył w zebraniu. Nie opuszczał lochu przez całą noc i przez większość kolejnego dnia. Zmieniające się grupy wartownicze donosiły tylko o tym, że z odkrytej komory dochodzą dziwne zapachy i niekończące się inkantacje.

Kompania chodziła, jak na szpilkach, a każda grupa, która schodziła na wartę w podziemiach, sprawiała wrażenie, jakby wybierała się na własną egzekucję. Po krótkiej naradzie sierżantów zdecydowaliśmy, że na szczycie schodów prowadzących do lochu będzie czekał jeszcze jeden oddział, który miał pierwszy zareagować na alarm. Godzinami chodziliśmy z dłońmi na rękojeściach broni, podświadomie czekając na dźwięk dzwonu – alarmowy albo żałobny. W pograżonych w półmroku korytarzach strach był niemal namacalnym obiektem. Mijały jednak kolejne godziny i nic się nie wydarzyło.

Co jakiś czas ktoś wracający z dołu wspominał o śpiewie, ale zawsze były to pojedyncze osoby – wyraźnie nie wszyscy mogli go usłyszeć. Z naszej dziesiątki jedynie Cast. Rosły wojownik, który udał się na spotkanie z szamanem zaraz po opuszczeniu lochu, wyszedł z niego zaopatrzonego w prosty kamienny medalion, malunek na twarzy i naprawdę paskudny humor. Przez długi czas nie chciał nam jednak nic powiedzieć. Spędził większość dnia sam, z dala od innych. Rzeźbił swoje drewniane ludziki, jakby świat miał od tego zależeć.

Dwa razy próbowałem z nim porozmawiać, ale okazał się jeszcze trudniejszym rozmówcą niż Cass. Dopiero za trzecim wreszcie podjął temat.

- To nic dobrego słyszeć ten śpiew, tak mówi szaman – w końcu się odezwał. – To znaczy, że to coś cię widzi.

- Co cię widzi?

- To coś zza wrót pod lochem. – Spojrzał na mnie i z jakiegoś powodu nagle zrobiło mi się nieprzyjemnie zimno. – Coś, co mieszka na dole.

- Widzi cię... i co?

- I nie wiadomo – odparł Cast, wzruszając ramionami. – Szaman nie wie. Dał mi ten amulet na wszelki wypadek, ale w sumie nie wiadomo, na ile pomoże.

- Jasne.

Przez chwilę Cast milczał, strugając swoje ludziki.

- To był najpiękniejszy śpiew, jaki słyszałem, wiesz? – powiedział nagle. – Piękniejszy niż... Sam nie wiem, sierżancie. Myślę, że gdybym wiedział, co mam zrobić, żeby słyszeć go więcej, zrobiłbym to.

Jego słowa wybrzmiały ponuro w mroźnym, wieczornym powietrzu.

- Ten amulet ma mnie zabezpieczyć. Bo to, co śpiewa, jest złe. Jest głodne. Tak uważa szaman.

- Mogę cię trzymać z dala od lochu - próbowałem go pocieszyć. - Ogarniemy warty sami.

- Dam radę. Chyba... Ale, sierżancie?

- Tak?

- Jakby coś się stało...

- Nic się nie stanie.

- Jakby coś się stało - powiedział z naciskiem. - W Mooton, tam gdzie zimowaliśmy dwa lata temu, jest tartak. Tam mieszka baba z bachorem. Nazywa się Silvia. Ja, no, mam trochę srebra i te moje zabawki...

Uniosłem brew.

- To twoja...?

- Nie - pokręcił głową szybko. - Nie, no co pan. Ale to wdowa po żołnierzu jest. A teraz ciężko samemu z dzieckiem, on jeszcze malutki.

- Jasne, pewnie - powiedziałem. - Ale nic się nie stanie.

- Tak, wiem.

Bardziej wyczułem niż usłyszałem czyjąś obecność, a kiedy się obróciłem, zobaczyłem zdyszanego Rasta stojącego w wyjściu z prowadzącego w głąb twierdzy ciemnego tunelu. Wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle, jego cera była szara, a w oczach niemal nie widziałem już białek.

- Candor - powiedział i od razu wiedziałem, że jest źle.

- Co się dzieje?

- Chodzi o Pradesha - Rast powiedział cicho i zaskakująco miękko.

Zmarszczyłem brwi. Pradesh był łucznikiem dziesiątki Benedykta i jednym z tej piątki, która przyjęła od Lorda Leara jego magiczny dekokt.

- Co z nim?

- Nie żyje - powiedział Rast. - Zabiliśmy go.

Ciało Pradesha leżało w jednym z tuneli prowadzących w stronę naszych kwater, owinięte przesiąkniętym krwią płaszczem. Mężczyzna, zawsze drobny, teraz wydawał się mały niczym dziecko. Nad zabitym stała dwójka ludzi Rasta z dobytą bronią. Kilka kroków dalej widziałem Cass i Ecce oraz dwóch ludzi z czwartej dziesiątki Medalika. Po krótkiej chwili nadbiegł też Byk.

- Od rana był dziwny - powiedział Rast kucając nad ciałem. - Był... głodny.

Wypowiedział to słowo tak, jakby znaczyło coś zupełnie innego niż myślałem.

- Próbowałem powiedzieć o tym Kapitanowi, ale on był zajęty z szamanem. Hagen też nie chciał słuchać, myślałem, że po prostu będziemy go pilnować i tyle. Ale wymknął się. Zanim go dopadliśmy, zdążył zaatakować Ecce.

Wojownicza z drużyny Hageny skinęła głową twierdząco. Dopiero teraz zobaczyłem, że ramię ma obandażowane brudnym opatrunkiem.

- Niech ktoś zaprowadzi Eccę do Łaty – powiedziałem, patrząc na zwinięte w kłębek ciało. – Jak cię zobaczę bez zmiany opatrunku, będziesz biegać po tych schodach aż padniesz.

Toporniczka skrzywiła się, ale dała się odprowadzić w głąb korytarza.

- Mów, co się dzieje – zwróciłem się cicho do Rasta.

- Nie zrozumiesz.

- Sprawdź.

Sierżant westchnął cicho, jakby lekko brzęcząc.

- Już wam mówiłem. Jesteśmy... głodni – znów zawahał się, wypowiadając to słowo. – Cały czas, odkąd wzięliśmy fiołki. Ale nie głodni jedzenia. Głodni polowania. Zabijania.

- Cały czas?

Rast skinął głową.

- Myślę, że nie będziemy już tacy jak wcześniej – powiedział cicho. – Myślę, że jesteśmy już tacy na stałe.

Pokiwałem powoli głową i spojrzałem ze współczuciem na sierżanta. Nigdy nie mogłem powiedzieć, że go lubię. Był arogancki, miał niewyparzoną gębę, chlał na umór i często zachowywał się w wyjątkowo obrzydliwy sposób. Teraz jednak, patrząc na jego nieobecne spojrzenie, wbite w jednego ze swoich, wyobrażając sobie, że pewnie zastanawia się, kiedy on sam znajdzie się na miejscu skulonego ciała. Jak nigdy czułem, że jest moim towarzyszem broni.

- Byku.

- No? – odezwał się wielki sierżant, kucający teraz przy zabitym Pradeshu.

- Leć po dowódcę. Nie daj się zatrzymać Hagenowi. Masz tu nie wracać albo bez Kapitana, albo szamana. Najlepiej z jednym i drugim. Ta kompania nie może działać bez dowództwa, nie teraz.

- Jasne.

- Rast, weź pozostałych swoich i zasuwaszcie na blanki. Weź ze sobą dwie osoby – wskazałem na dwójkę żołnierzy Medalika. – Jeśli którykolwiek z twoich będzie miał podobne pomysły, wyślij kogoś z tej dwójki po nas, jasne? Shav'naz będzie u was najszybciej, jak się da.

Skinął głową, wyraźnie wdzięczny za wskazanie, co ma robić – choć bogowie świadkami, sam nie miałem pojęcia, czy moje decyzje miały sens, a i moje dowodzenie wynikało raczej z tego, że pierwszy się odezwałem – i grupa oddaliła się korytarzem, pozostawiając mnie samego z Cass i ciałem Pradesha.

- Przenieśmy go gdzieś...

- To Kapitan – powiedziała nagle Cass, patrząc na mnie ze łzami w oczach.

- Co?

- To Kapitan kazał mi zabrać dwójkę ludzi na górę w połowie zmiany – jej głos łamał się niemal przy każdym słowie. Nigdy jeszcze nie widziałem jej w takim stanie. – A Większemu Laurentowi sprawdzić tę celę. To był jego rozkaz.

22. Spotkaliśmy się we trójkę na blankach krasnoludzkiej twierdzy – ja, Czarna Vexley i Byk. Nie zabrałem nikogo ze swoich, nawet Daraeli czy Casta. Pozostali też przyszli sami. Nie chcieliśmy rozmawiać przy reszcie. Im więcej byłoby osób, tym większa szansa, że o sprawie ostatecznie dowie się czarodziej. Tutaj jednak mogliśmy rozmawiać sami. Alyssa i Kurt, którzy mieli akurat wartę na murach, odeszli niemal pod przeciwny mur, a dmący chłodem wieczorny wiatr skutecznie zagłuszał nasze głosy, nawet tym, którzy jakimś cudem podeszliby bliżej.

- Musimy coś zrobić – zaczęła Vexley. – Zanim ten cholerny czarodziej załatwi nas wszystkich albo potworami z lochów, albo jeszcze czymś gorszym.

Na sierżant wiadomość o tym, co powiedziała Cass, zrobiła ogromne wrażenie. Oczywiście okazała je tak, jak Vexley okazywała zdenerwowanie, czyli prawie wcale. Zakłęła, splunęła na podłogę i powiedziała, że trzeba zebrać pozostałych. Nawet teraz widziałem jej nieco nerwowe ruchy i sporadyczne zerknięcia w stronę ciemnych tuneli.

- Pogadajmy z Kapitanem – powiedział Byk. – Na pewno wszystko się wyjaśni. Przecież wiadomo, że nie wystawiłby naszych.

Wielki mężczyzna wyraźnie nie czuł się dobrze w tej rozmowie, ale pod nieobecność Nellie był dla mnie i Vexley najbardziej zaufanym podoficerem w kompanii. Nie było nas stać na zrezygnowanie z jego pomocy tylko dlatego, że był prostolinijny.

- Nie możemy mu powiedzieć – wyjaśniłem ponuro. – Spędził z Learem tyle czasu, że na pewno jest pod jego wpływem.

- Nie wiesz tego.

- Właśnie że wiem – odparłem. – Sam przecież powiedziałaś, Kapitan nie wystawiłby naszych, zresztą nie miał powodu. A czarodziej miał.

- I co, przekonał go?

- Ten gość wywołał burzę śnieżną, całkiem zmienił Rasta i jego ludzi, i licho wie, co jeszcze. Co to dla niego: rzucić czar na Kapitana? Zwłaszcza że przez większość czasu Shav'naz leżał nieprzytomny?

Byk nerwowo przygładził bujną brodę.

- No dobrze, to pogadajmy z Shav'nazem i on to wszystko odkręci.

Czarna Vexley pokręciła głową ponuro. Spojrzała w stronę schodów do wnętrza twierdzy, potem w dolinę.

- Nie sądzę, żeby Shav'naz mógł coś zrobić sam – powiedziała. – Jakby mógł, to pewnie już by zrobił. Widziałam, jaki wściekły jest na Kapitana i tego Leara.

- No ale nie będzie sam – powiedziałem cicho.

- A kto mu pomoże? – Byk nadal bawił się brodą. – Znasz jakichś innych szamanów?

- No nie – przyznałem. – Ale my tu jesteśmy. Przecież nie pozwolimy temu czarodziejowi na kontrolowanie Kapitana.

- A co my poradzimy na czarodzieja?

- Nie wiem. Ale nie musimy nic robić z czarodziejem, wystarczy, że poluzujemy jego chwyt na Kapitanie – powiedziałem, mając nadzieję, że takie zadanie faktycznie jest wykonalne. – Jak dowódca będzie przy zdrowych zmysłach, to reszta już jakoś pójdzie. Możemy na przykład zabrać się stąd, zanim Lear i tutejsze potwory zrobią z nami porządek.

- Może.

- Moi ludzie... – zastanowiłem się. – Moi ludzie pójdą ze mną. Jak z waszymi?

- Moja dziesiątka jest z nami.

- Ja... nie wiem, nie myślałem, że będziemy musieli kiedyś podejmować takie wybory – powiedział niepewnie Byk. – Jasne, że nie podoba nam się to, co się dzieje, ale nie wiem, czy każdy z moich stanie przeciwko Kapitanowi.

- Czarodziejowi.

- Jak go kontroluje, to żadna różnica, nie? – parsknął sierżant drugiej. – Nie sądzę zresztą, żeby Kapitan pozwolił coś kombinować wokół Leara. Będziemy musieli wprost sprzeciwić się jego rozkazom, a to dla nikogo łatwe nie będzie. Nie wiem, jak zareagują.

Czarna Vexley kiwnęła głową ze zrozumieniem. Nasi ludzie byli wobec nas lojalni, ale przecież to Kapitan był dowódcą. Nigdy nie kwestionowaliśmy jego rozkazów, nigdy nie działaliśmy wbrew – bo zawsze ufaliśmy, że działa dla dobra kompanii. Byliśmy w końcu wszyscy jednym stadem kruków, lataliśmy zawsze razem. Teraz chcieliśmy zrobić wyłom w tej jedności.

Tak, sierżant drugiej dziesiątki miał rację. Pakowaliśmy siebie i naszych ludzi w sytuację, w których nie mogliśmy być pewni nikogo.

- Tak czy inaczej – powiedziała Vexley po chwili milczenia. – Musimy pogadać z Shav'nazem.

- Jeśli nadal siedzi z Kapitanem, łatwe to nie będzie.

- Nie siedzi.

Głos dochodził z tunelu, w stronę którego jeszcze tak niedawno patrzyła Vexley. Teraz stał w nim Rast, lekko przygarbiony, w długich rękawicach i z twarzą na wpół ukrytą pod zimowym kapturem. Ani jego jakby przygarbiona sylwetka, ani głos, ani dziwny, jakby zwierzęcy sposób poruszania nie przypominały już dawnego najemnika, którego wszyscy znaliśmy.

- Hej, Rast – powiedziała pozornie bez troski Vexley, niedbałym ruchem przesuwając dłoń w stronę ukrytego przy pasku noża. – Nie widziałam cię. Długo tu siedzisz?

- Wystarczająco długo.

Sierżant pokiwała głową.

- I co?

Rast przekrzywił lekko głowę, patrząc na nią dziwnie swoimi zmienionymi oczami. Potem, w bardzo widoczny sposób, opuścił wzrok na dłoń Vexley. Bardzo powoli pokręcił głowę z wyrazem zawodu na twarzy.

- I też uważam, że powinniśmy porozmawiać z szamanem - powiedział półgłosem. - Wiem, gdzie jest.

Shav'naz był poza twierdzą - wydostał się z niej przez tę samą szczelinę, którą weszliśmy w noc szturm. Siedział nieopodal murów w wymalowanym na śniegu błękitnym i srebrnym proszkiem kręgu. Miał zamknięte oczy, jak zwykle podczas medytacji, lecz kiedy tylko się zbliżyliśmy, otworzył je i spojrzał na nas przenikliwym wzrokiem.

- Czego chcecie? - zapytał ostrym głosem.

- Chcemy, żebyś pomógł nam z Kapitanem - powiedziałem. - Wydaje nam się, że Lord Lear w jakiś sposób wpływa na niego i...

Rozłożyłem ręce.

- I? - szaman uniósł krzaczastą brew.

- ...i nie wiemy, do czego to doprowadzi.

Shav'naz powoli pokiwał głową i wstał. Krąg wokół niego na moment zabłysnął słabym światłem. Kiwnął, byśmy podeszli, ale zatrzymał nas gestem, gdy stanęliśmy na granicy kręgu.

- Lord Lear pragnie mocy - powiedział swoim chrapliwym półgłosem. - A w tej strażnicy kryje się jej bardzo wiele. Dlatego nas tu przyprowadził, dlatego kazał nam odbić to miejsce z rąk krasnoludów. Chce wykorzystać magię, która płynie przez to miejsce, i nie przejmuje się konsekwencjami.

- Konsekwencjami?

Szaman skinął głową i łypnął na gładkie mury strażnicy.

- Nie zastanawialiście się, dlaczego krasnoludy postawiły tu strażnicę? Czego ona strzeże?

Spojrzałem na pozostałych, równie zakłopotanych jak ja. Zakładałem, że krasnoludy mają jakiś cel w kontrolowaniu tego kawałka ziemi. Ostatecznie można było stąd obserwować cały ruch przy przełęczach. Sami mieliśmy dzięki temu dość dokładny wgląd w działalność vidiańskiego korpusu inwazyjnego. Niedawno też załoga strażnicy zeszła z gór i wymordowała wioskę, do której trafiliśmy po drodze z wybrzeża, i to zapewne też było częścią jakichś zastosowań tego miejsca. Ale przecież wcale nie było to takie jasne.

- A jeśli już nawet nie myśleliście o tym, to nie zadawaliście sobie pytania, skąd biorą się istoty w celach?

- Mogły je łapać, używać jako broni...

Shav'naz pokręcił głową.

- Nie. Krasnoludy przyszły w te góry dawno, bardzo dawno, zaraz po tym, jak Góry Barrierowe pękły, odsłaniając przełęcze łączące Algrath z resztą Vidii. Ale nie pojawiły się tu z tego powodu. Wiedziały, że rozerwanie łańcucha odsłoniło jaskinie i tunele biegnące w głąb, aż pod korzenie gór, w miejsca, gdzie światło dnia jest tylko dziwnym mitem, a powietrze stoi nieruchome od początku świata. I obudziło coś, co tam żyło.

- Te stwory? – spytał Byk, patrząc z respektem na strażnicę.

- Również one – odparł Shav'naz. – Krasnoludy odnalazły wszystkie ujścia tuneli i postawiły na nich własne twierdze, takie jak ta. W ich murach nawet ja wyczuwam potężną magię, którą tu wplotły, choć, przyznam, nie rozumiem jej w pełni. To przez nią zginęła ta istota, która uciekła z celi.

Spojrzałem na wyniosłe mury twierdzy. Czy faktycznie jej jedyną funkcją było pilnowanie, żeby stwory takie jak ten, który zabił Vremera i Większego Laurenta, nie wychodziły z podziemnych tuneli pod górami? Czy to taki stwór zniszczył mur, pozbawił strażnicę części załogi i wymordował podgóorską wioskę? A może coś jeszcze gorszego?

- I czarodziej chce ją wykorzystać?

- Czarodziej odbiera temu miejscu moc. Z każdą chwilą zaklęcia wplecione w nie słabną, od wczoraj bardzo szybko. W końcu przestaną działać. I wtedy pomiędzy nami a tymi istotami pozostanie tylko zwykły kamień i metal. A to o wiele za mało.

Miał właśnie powiedzieć coś jeszcze, ale nagle usłyszeliśmy głośnie rżenie i wizg. Całe stadko – i nasze kucyki i koń Leara – uwiązane przy fortecy, zaczęło szarpać pęta, gwałtownie próbując się uwolnić w wyraźnym przerażeniu. Któryś wierzgał gwałtownie, a koń czarodzieja zaczął szarpać zębami uprząż. Donośne odgłosy paniki musiały być słyszalne daleko od strażnicy – może nawet w dolinie – ale nie to nas teraz martwiło. Dokładnie bowiem w tej chwili Rast wyprostował się i zeszywniał jak wężący w powietrzu pies. Potem popatrzył na nas, a w jego dziwnych, półludzkich oczach zobaczyliśmy przerażenie.

- Coś złego się dzieje w twierdzy – choć powiedział to niemal bezgłośnie, jakoś wszyscy doskonale usłyszeliśmy jego słowa.

23. Jeszcze nigdy tak bardzo nie chciałem stąd uciec jak wtedy, gdy usłyszałem słowa Rasta i zobaczyłem jego absolutnie przerażone, nieludzkie oczy. Nagle zdało mi się, że powietrze wokół strażnicy wiruje dziwnymi barwami, a gdzieś na granicy słyszalności unoszą się szepty, wiatr wyje obcą, jednocześnie straszną i kuszącą, melodię. Zimne powietrze, dotychczas świeże, zaczęło nagle mieć zapach jaskiń i jeszcze czegoś, co budziło we mnie jakiś nieodparty, pierwotny lęk.

W tym momencie pragnąłem jedynie być jak najdalej od strażnicy, jej lochów i komory z wrotami, wiodącymi gdzieś w nieznanne podziemia. Byłem przekonany, że niezależnie od tego, czy Rast miał na myśli upiornego – i być może już niemal wszechmocnego – Lorda Leara, czy stworzenia zamknięte w dziesiątkach cel krasnoludzkiej strażnicy, coś czyhało tu nie tylko na moje życie, ale też na całą resztę mnie, na wszystko, czym byłem.

Chciałem biec, uciekać jak najdalej stąd gdzieś, choćby i do Vidyjczyków w dolinie, albo aż padnę na śnieg i stracę przytomność. I, co więcej, widziałem, że nie tylko Rast, ale i Byk, i Czarna Vexley, a nawet szaman Shav'naz, myślą dokładnie o tym samym.

Było więc jedną z najtrudniejszych rzeczy w moim życiu powiedzieć:

- Chodźmy. Musimy to jakoś zatrzymać.

Vexley westchnęła ciężko i skinęła głową. Byk tęsknie spojrzał na ośnieżony górski grzbiet i podszedł do mnie. Shav'naz wyszedł z kręgu. Rast natomiast stał w miejscu, chwiejąc się na nogach, wyraźnie niemal oszalały ze strachu. Jego wyostrzone zmysły działały teraz przeciw niemu. Prawdopodobnie było o wiele bardziej świadom, jaką głupotę robimy, niż my sami.

- Jedno stado, co? - wymamrotał wreszcie.

- Nie wiem, Rast - odparłem szczerze. - Ale mam nadzieję, że tak.

Sierżant uśmiechnął się, a potem upadł na kolana i zwymiotował na śnieg. Torsje wstrząsały nim dobrą minutę, wreszcie wstał z trudem i spojrzał na mnie, kiwając powoli głową. Ręce drżały mu jak w febrze.

- Chodźmy.

Cass spotkaliśmy jeszcze w korytarzu, wiodącym ku schodom do lochu. Obok niej stał wielki Fabian, a kilka kroków za nią - Daraela i Kurt.

- Szukamy Kapitana - powiedziałem od razu.

- Jest na dole - powiedziała rośła wojowniczką. - Wziął dziesiątki Hageny i Otta i jeszcze paru ludzi, poszli do czarodzieja. Na blankach wartuje Medalik, mnie zostawił tutaj. Powiedział, że nikt, pod żadnym pozorem, ma nie schodzić za nim.

Spojrzałem ponuro na pozostałych.

- Zaczęło się - mruknąłem, patrząc w dół schodów. - Widzisz, Cass, mamy problem.

- Mamy?

- Musimy zejść na dół i zdjąć smycz Leara z Kapitana. Możesz iść z nami albo możesz zostać. Ale lepiej nie stój nam na drodze.

Cass oblizwała wargi, spojrzała na mnie i pozostałych. Była lepszą wojowniczką niż ja i zdawałem sobie sprawę, że gdyby przyszło co do czego, stałbym się pierwszą ofiarą własnej brawury - zwłaszcza że zaraz za nią stał przypominający olbrzymia Fabian, trzymający w ręku schowany w pochwie swój ulubiony dwuręczny miecz.

- A jest jakaś smycz?

- A uważasz, że zrobiłby Vremerowi i Laurentowi coś takiego sam?

Cass przez chwilę zastanawiała się. Wreszcie, po niesamowicie długich kilkunastu sekundach zrobiła krótki krok w bok.

- Chodźmy

- Zbiorę ludzi - Byk już obrócił się na pięcie.

- Nie - pokręciłem głową. - Nie mamy na to czasu.

Zeszliśmy na dół w dziewiątkę, ostrożnie stawiając kroki na schodach, z bronią gotową do walki i - muszę przyznać - duszami na ramionach. Cały mój instynkt mówił, że idę prosto w wilczą paszczę - oraz że przecież nadal mam czas, żeby zawrócić. Ale teraz nie pozwalał mi na to upór. Decyzja została podjęta. I trzeba było doprowadzić plan do końca.

Na dole schodów nie było stanowiska wartowniczego, tylko ciemny, ponury korytarz, wiodący między celami. Teraz nagle zdawał się pełen złego, pulsującego życia. Mijając zamknięte drzwi niemal czułem, jak gdzieś przez szpary w zamykanych metalowych okienkach coś nas obserwuje, że jakaś

wiecznie głodna, obca obecność odlicza chwile do momentu, kiedy będzie mogła się na nas rzucić. Patrzyłem przed siebie, cały czas mając nieodparte wrażenie, że kiedy tylko spojrzę w bok, zobaczę sylwetkę atakującego potwora, takiego jak ten, który zabił ludzi Cass. Za plecami słyszałem ciche przekleństwa Vexley, mamrotanie szamana i szybkie, zwierzęce niemal dyszenie Rasta.

Hagena spotkaliśmy u szczytu schodów razem z Eccą, Sachsem Topornikiem i Wistinnusem zwanym Wistem. Cała czwórka zmierzyła nas czujnymi spojrzeniami.

- Wszyscy mieli zostać na górze - powiedział groźnie dowódca pierwszej dziesiątki. - Nie myślałem, że będę musiał to mówić, ale to dotyczyło też was.

- Idziemy do Kapitana.

- Nie - pokręcił głową mężczyzna. - Zawracacie i wracacie na górę. Tu jest niebezpiecznie i kompania ma się trzymać z daleka.

Wtedy Shav'naz wyszedł pomiędzy nas i stanął przed Hagenem. Szaman był o dobrą głowę niższy od sierżanta i pewnie o połowę lżejszy, ale zupełnie nie przeszkadzało mu to groźnie patrzeć na rosnącego wojownika.

- Zejdź nam z drogi - powiedział swoim chrapliwym, ponurym głosem.

Sierżant spojrział na niższego od siebie mężczyznę i prawie widziałem namysł na jego twarzy. Natychmiast oczywiście zrozumiał, że sytuacja zrobiła się bardzo skomplikowana. Nie ze względu, naturalnie, na magię Shav'naza - z tym, z tej odległości, zapewne mógłby bez trudu sobie poradzić. Szaman jednak był oficerem, co oznaczało, że nie mógł tak po prostu rozkazać mu odejść.

- Za pozwoleniem, panie oficerze - powiedział już spokojniej. - Nie mogę tu nikogo wpuścić. Takie rozkazy.

Wzruszył ramionami w przeproszającym geście.

- Kapitan jest teraz w niebezpieczeństwie i idziemy, żeby mu pomóc.

- Lord Lear z nim jest.

- Lord Lear próbuje nas wszystkich zabić. I Kapitana też.

Tym razem wysoki sierżant wyraźnie zawahał się przez moment. Ale Shav'naz czekać nie zamierzał.

- Jak chcesz, to mnie zabij. Idziemy.

Ruszył naprzód, łypiąc wyzywająco na Hagena i jego ludzi. My za nim. Ecca spojrzała na swojego dowódcę, potem na nas. Sachs zacisnął ręce na stylisku topora, ale również patrzył zdeorientowany na zdeterminowanego szamana. Wist odruchowo podniósł miecz, kiedy ruszyłem w jego stronę, ale cofnął go, gdy okazało się, że nie zamierzam się zatrzymać. Nikt z nich chyba nie był gotów, żeby nas zabić. Niezależnie od rozkazów, wszyscy byliśmy Krukami. Jednym stadem.

Przeszliśmy już kilka stopni, kiedy usłyszeliśmy donośne przekleństwo Hagena i ciężkie kroki, gdy czwórka wartowników ruszyła w ślad za nami. Nie próbowali już nas zatrzymać.

Dźwięk usłyszeliśmy stosunkowo szybko, ale zupełnie nie potrafiłem go rozpoznać. Dopiero kiedy przed nami zajaśniały magiczne światła komory, rozpoznałem melodię. To była ta sama pieśń, którą usłyszałem pierwszy raz w nocnym obozowisku, a potem gdzieś w ponurym wietrze tu, na

ośnieżonych graniach Gór Barrierowych, i o której opowiadał mi Cast. Tym razem jednak nie śpiewał jej niewyraźny, obcy głos, a szeleszczący, zwielokrotniony ton Lorda Leara. Z jakiegoś powodu sprawiało to, że była jeszcze bardziej niepokojąca i cała nasza grupa bezwiednie zwołała na schodach. Nie zatrzymaliśmy się jednak. Teraz nie było odwrotu. Zdecydowanym krokiem pokonaliśmy ostatnie stopnie i weszliśmy do podziemnej komory, najpierw ci, którzy szli z szamanem, a zaraz za nami Hagen i jego przybocznicy.

Wokół płyty, którą szaman nazwał wrotami, klęczała ósemka naszych – Cast, Rasen i kilku innych. Oczy mieli otwarte, lecz zdawali się pogrążeni w dziwnym transie, całkowicie nieobecni i nieświadomi tego, co działo się dookoła. Pochodzili z różnych dziesiątek i wyglądali na zebranych całkowicie losowo, ale nagle zorientowałem się, że wcale tak nie jest. Każdy z nich w ostatnich dniach meldował, że słyszy pieśń, tę samą, co Cast i tę samą, którą słyszeliśmy teraz. Na samym środku zaś, pomiędzy nimi, stał Lord Lear. Miał przymknięte oczy, a z jego ust dobiegały splecione ze sobą szepty, wznosząc się i odbijając od ścian i sufitu komory.

Wokół stali pozostali żołnierze Kruczej – Kapitan, Otto i jego dziesiątka, reszta ludzi Hageny. Wszyscy mieli broń w rękach. Kiedy weszliśmy, unieśli ją jednocześnie, ale tylko na moment. Ktoś parsknął, ktoś odetchnął z ulgą, miecze i topory opuszczono i w pomieszczeniu zapanowała mieszanina ulgi i konsternacji. Wyraźnie spodziewali się kogoś innego. Tylko Kapitan pozostał niewzruszony.

- Panie Shav'naz, co się tu dzieje? Wyraźnie rozkazałem kompanii pozostać na górze.

- Przyszliśmy po niego – szaman wskazał gestem na czarodzieja, otoczonego kręgiem klęczących, nadal wyglądających jak w transie, żołnierzy.

- Nie będę nawet tego słuchał – Kapitan pokręcił głową. – Proszę natychmiast zabrać resztę moich ludzi, wracać na górę i czekać na dalsze rozkazy.

- Nie, dowódcu – szaman zrobił krok do przodu. – To się musi skończyć teraz.

Otto wyszedł naprzeciw, wyraźnie by zostawić mu drogę. Byk zrobił krok naprzód i spojrzał na sierżanta dziesiątej ponuro.

- Co się musi skończyć teraz?

- On nas pozabija, Kapitanie – powiedział szaman donośnie. – Wszystkich. Odkąd tu jest, ogałaca to miejsce z magii. Z każdą chwilą bariery... kręgi ochronne twierdzy stają się słabsze. Musi to wiedzieć, tak samo jak musi wiedzieć, co się wydarzy, jeśli przestaną działać. Co wyjdzie z cel, co może wyjść z za tych wrót.

Kilku ludzi Otta spojrzało po sobie niepewnie. Nawet Hagen chrząknął cicho i spojrzał na dowódcę pytająco. Kapitan jednak pozostał niewzruszony.

- Na litość bogów, Shav'naz, wiesz, po co to robi – powiedział wyraźnie wściekły. – Wiesz, czemu ją czerpie, rozmawialiśmy o tym. Moc ukryta w tej twierdzy ma mu pomóc w zabezpieczeniu przełęczy. Bez niej zwyczajnie się nie uda. Po to tu przyszliśmy i wiedziałeś o tym od początku, więc za pozwoleniem, pozwól mu działać. Nie zrobił nic, poza tym co powiedział, że robi.

- Zrobił! – Huknęła nagle, zupełnie niespodziewanie Cass. – No przecież zrobił!

- Cass, uspokój się!

- Nie, Kapitanie, za pozwoleniem – kontynuowała wysoka wojowniczką. – Teraz nie! Czy nie widzi pan, co on już zrobił?

- O czym tym mówisz?

- O Raście i jego ludziach – powiedziała, wskazując na przygarbionego sierżanta. – W co ich pozamieniał swoimi świństwami? Pradesh dopiero co rzucił się na naszych, z pozostałymi nie wiadomo, co będzie. A co się dzieje z tymi tutaj?

Wskazała na ósemkę klęczących w transie wokół płyty żołnierzy.

- To absolutnie konieczne do jego...

Ale tym razem Cass, zawsze niezłomna w lojalności wobec kompanii i Kapitana Cass, która nigdy chyba nie postawiła się oficerowi, nie dała mu skończyć.

- Nawet z panem coś zrobił – mówiła dalej. – Zahipnotyzował pana tak, że pan robi, co on każe, że kazał pan Vremerowi i Laurentowi otworzyć celę, żeby zginęli i nie rozmawia pan z sierżantami i...

- Cass!

- Co, do wszystkich diabłów! – wrzasnęła wojowniczką. – Co?

Kapitan odetchnął głębiej, oblizwał wargi. Chciał zacząć mówić, ale przerwał, zanim zdążył powiedzieć choć słowo. Spróbował jeszcze raz, ale znów odpuścił. Nie patrzył w oczy podwładnej i wyglądał teraz na bardziej niepewnego niż kiedykolwiek pamiętałem.

- Kompania ma zadanie do wykonania – powiedział wreszcie. – To zadanie ma duże znaczenie dla Algrath i dla naszych mocodawców. Wiem, że jest trudne. Wiem, że wygląda na niezrozumiałe. Ale wszystko, co się tu dzieje, to ofiary konieczne do jego wykonania. Krucza ponosiła już straty, ginęli ludzie.

- Pewnie, że ginęli – powiedziała Cass gorzko. – W bitwach, jak przy zajmowaniu tego cholernego miejsca. Ale zabijali ich wrogowie, a nie pan. Zawsze, zawsze był pan po naszej stronie. A teraz pan nie jest i to wszystko jego wina.

Machnęła ręką w stronę czarodzieja – nadal śpiewającego pieśń w środku kręgu Kruków i zdającego się nieświadomym naszej obecności.

- Dowódco – przekonywał szaman. – On się nie przejmuje ani przełęczę, ani nami. Jeśli pozwolimy mu działać, zabije nas wszystkich. Musimy coś zrobić.

Ruszył zdecydowanym krokiem w stronę Lorda Leara. Otto natychmiast zastąpił mu drogę, patrząc niezdecydowanie na dowódcę.

- Nikt nie zbliża się do kręgu!

Otto wyciągnął otwartą dłoń by zatrzymać Shav'naza, ale szaman wściekle odtrącił ją na bok.

- Panie Otto, panie Hagen – głos Kapitana był niemal metaliczny w zimnej wściekłości. – Jeżeli ktokolwiek zbliży się na trzy kroki do kręgu, ma zostać zatrzymany za wszelką cenę!

- Ale Kapitanie... – Wysoki, łysy Otto popatrzył bezradnie na dowódcę.

- Dziesiąta, pierwsza! Pozycje!

Kruki, które były w komorze, uniosły niezdecydowanie broń, kierując ją w stronę swoich braci i sióstr, zgromadzonych wokół szamana. Czarna Vexley splunęła i poprawiła chwyt na mieczu. Rast syknął wściekle. Daraela rzuciła coś cicho do Kurta obok i powoli podniosła kuszę. Nie tak, żeby celować w kogokolwiek, ale nie mierzyła już w podłogę.

- Zwariowaliście? – ryknął Byk. – Będziemy się bić? Kruki na Kruki?

- Cofnij się, Byk – mruknął Otto, nadal niepewnym głosem.

- Panie Shav'naz, proszę natychmiast zabrać ludzi i wracać na górę. W przeciwnym razie zostanie pan stąd usunięty siłą.

- Co się tu w ogóle dzieje? – Mniejszy Laurent, stojący dwa kroki od Otta i dokładnie naprzeciw Vexley, miał zdeorientowany, przestraszony wyraz twarzy. – Bogowie, co się tu dzieje?

- Candor, Vexley – rzucił szaman ostro. – Idziemy do czarodzieja.

- Szyk! – krzyknął Otto do swoich, bardzo starając się kontrolować głos. Tym razem ostrza uniosły się wyżej, Ross odruchowo uderzył rękojęścią miecza w tarczę.

- Nie rób żadnych głupot – Czarna Vexley patrzyła prosto na Otta. Oczy miała drapieżnie zwężone.

- Mamy rozkaz.

- Zginiesz za tego czarodzieja? – w uśmiechu sierżant nie było nawet cienia wesołości.

Otto zawahał się. I wtedy Shav'naz odepchnął go na bok i ruszył zdecydowanym krokiem prosto w stronę kręgu. Laurent odruchowo odsunął mu się z drogi, Tess po prostu cofnęła, opuszczając broń. Dziesiąta była niezłomna w walce z wrogiem, ale przeciwko innemu Krukowi żaden jej żołnierz nie chciał podnosić ostrza. Co innego Hagen.

Szaman był dwa kroki od Casta, najbliższego nam w kręgu, kiedy w powietrzu śmignęła stal. Wielki nóż Hageny, ciśnięty przez pół pomieszczenia, wbił się dokładnie między łopatki Shav'naza. Uderzenie było jednocześnie prawie niesłyszalne i przerażająco głośne, na chwilę jakimś cudem – a może tylko w mojej głowie? – zagłuszyło nawet zaśpiew Leara.

Shav'naz niemal przewrócił się pod impetem, ale jakoś ustał. Odruchowo próbował złapać za nóż, ale nie mógł do niego sięgnąć i wykonał tylko kilka niezdarnych ruchów rękoma. Spojrzał na Kapitana, potem obrócił się do Hageny. I powoli, bardzo powoli, jakby po prostu chciał usiąść zmęczony – osunął się podłogę.

24. Na kilka uderzeń serca wszystkie Kruki w pomieszczeniu zamarły z oczami utkwionymi w zabitego szamana. Świadomość, że Hagen właśnie zabił jednego z nas, rozlewała się w komorze, duszna i ciężka.

A potem zadziały odruchy.

Daraela poderwała kuszę i wymierzyła ją w Hageny, przed którym natychmiast stanęła Ecca z uniesioną wysoko tarczą i dobytym toporem. Kurt wystrzelił do Lordy Leara, ale bełt złapał na tarczę Otta. Sierżant dziesiątej natychmiast ruszył wprost na kusznika, ale Vexley obesła go płynnym, niemal tanecznym ruchem, i przystawiła miecz do gardła. Mniejszy Laurent krzyknął i zamachnął się

na nią, trafiając w moją, postawioną w ostatniej chwili, gardę. Laurent zatrzymał się, podobnie pozostali.

Na chwilę.

Byk skoczył naprzód, w stronę maga, ale nagle wyrósł przed nim Kapitan, który w ręku już trzymał miecz. Byk się zawahał. Kapitan nie. Z przerażeniem patrzyliśmy, jak – trafiony z krótkiego zamachu – sierżant drugiej wali się na ziemię jak kłoda.

I wtedy zaczęło się naprawdę. Wist skoczył na Rasta z pięściami, ale sierżant przechwycił go w powietrzu i rzucił na ziemię, a potem pochylił się nad nim nisko i dziwnie pokracznie, jak zwierzę raczej niż człowiek. Przez moment naprawdę myślałem, że będzie chciał rozerwać mu gardło zębami. Natarł na mnie Stjepan, asekuracyjnie, tarczą, a kiedy się cofnąłem, uderzył na Vexley, razem z Laurentem. Sierżant ósmej zawirowała jak fryga i uniknęła, ale straciła trzymanie Otta i podoficer mocnym kopnięciem wytrącił Kurtowi kuszę z rąk. Ruszyła Ecca, unosząc nad Daraelą swój straszliwy topór, Vexley podcięła Otta, który rymnął na ziemię z chrzęstem kolczugi, a ja oberwałem pięścią od Laurenta. Zawinałem mieczem nad jego tarczą, ale wstrzymałem cios – przecież nie chciałem go zabijać. Dokładnie wtedy z boku wjechał ze mnie Sachs, wymachując toporem jak szaleniec. Zaatakowałem jego dłoń, chybiłem, ale wykorzystałem jego blok, żeby skrócić dystans i utrudnić mu kolejny atak. Z tyłu jęknął przeraźliwie trafiony Kurt.

- Kruki, stać! - rozległ się nagle ryk dowódcy i wszyscy naprawdę zamarli.

Kapitan stał z opuszczoną bronią, nadal jakby z niedowierzaniem wpatrując się w leżące przed nim ciało Byka. Oddychał ciężko.

- Pierwsza i dziesiąta, spokój – powiedział dowódca cicho. – Natychmiast.

Jeden po drugim żołnierze cofali się i opuszczali broń. My też, choć rozkazu nie było. Ecca, stojąca nad Daraelą z wzniesionym ostrzem, zrobiła krok w tył i opuściła tarczę. Kuszniczka cofnęła wymierzoną w twarz przeciwniczki broń. Otto upuścił miecz i pochylił się nad zranionym przez siebie Kurtem. Rast pchnął przytrzymywanego dotąd Wistimiusa na ziemię. Ja również odstąpiłem od Sachsa, patrzącego teraz dziwnie to na mnie, to na swoją broń. Schowałem miecz.

- Macie rację – powiedział Kapitan cicho. – Nie powiedziałem wam wszystkiego na początku i dlatego...

Wykonał nieokreślony ruch w stronę leżącego na kamiennej płycie Byka i, zwiniętego w kłębek jak zabity pies, Shav'naza.

- To moja wina – ciągnął. – Powinniście byli wiedzieć. Powinniśmy byli naprawdę być jednym stadem. Wtedy pewnie nie doszłoby do tej sytuacji.

Przez dłuższą chwilę milczał i w pomieszczeniu było słychać jedynie zwielokrotnioną pieśń siedzącego nadal bez ruchu w kręgu Lorda Leara. Prawie czułem, jak mury wokół nas rezonują, jakby zgodnie z melodią, jak strażnica odpowiada. Wyobrażałem sobie istoty zgromadzone w celach nad nami, obracające bezokie łby w stronę pancernych drzwi, w których powoli gasła magia, wężące w poszukiwaniu niedalekich zdobyczy.

- Vidia nie chce odzyskać Algrath – powiedział po chwili ciszy. – Ono ma zostać zniszczone do gołej ziemi, na zawsze, jako sygnał dla wszystkich, którzy myślą o buncie wobec Imperium. Szybko i spektakularnie. To dlatego ich armia wyruszyła na zimową wyprawę. I dlatego my tu jesteśmy.

Przerwał na chwilę. Odetchnął ciężko.

- Tak jak mówił Shav'naz. - Mimowolnie spojrział na zabitego szamana. - Lord Lear rzeczywiście chce wykorzystać magię tego miejsca. Ma to zrobić w celu zablokowania przełęczy, a nie poradzi sobie sam, zwłaszcza że Vidyjczycy prowadzą ze sobą własnego czarodzieja. A ta armia nie może przejść przez góry, bo Algrath nie ma czego postawić naprzeciw niej. Te informacje otrzymałem od naszych zleceniodawców i na razie nie mam powodów, by w nie wątpić.

Milczeliśmy.

- Lear od początku wiedział, że kluczem jest ta komora i to jej ciągle szukał. Kiedy nie znalazł, zasugerował wykorzystanie tych istot, zwłaszcza kiedy okazało się, że vidyjska armia już stoi w dolinie. - Kapitan spuścił wzrok. - Ale otwarcie celi i odesłanie Cass to była moja decyzja i mój rozkaz. Moja odpowiedzialność, nie jego.

Spojrziałem na Mniejszego Laurenta. Z otwartymi ustami i wyrazem twarzy zdradzonego dziecka wyglądał naprawdę żałośnie.

- Koszt okazał się... duży. Bardzo duży - Kapitan przez chwilę milczał, patrząc w przestrzeń. Po chwili się otrząsnął. - Ale ostatecznie znaleźliśmy komorę. Teraz Lord Lear zakończy swój rytuał i to da mu moc, by zabezpieczyć Algrath przed inwazją, i nasza obecność tutaj, nasze ofiary i nasz wysiłek, będą miały sens.

- I tak - usłyszeliśmy nagle odbijający się echem w komorze głos czarodzieja. - I nie.

Wszyscy jednocześnie obróciliśmy się ku środkowi kręgu, gdzie do niedawna Lord Lear, z półprzymkniętymi oczami, otoczony naszymi ludźmi, śpiewał obcą pieśń podziemia. Teraz echa zaśpiewu zniknęły, a czarodziej spoglądał prosto na nas.

- Tak, bo w istocie dzięki naszej współpracy Vidia nie najedzie już Algrath. Nie, ponieważ nie będzie to w żaden sposób wynikało z mojej mocy - powiedział cicho.

- Nie rozumiem - Kapitan spojrział na niego ponuro.

- Nic nie musi pan rozumieć, kapitanie Veth - czarodziej uśmiechnął się uprzejmym, lecz pewnym wyższości uśmiechem. - Wszystko, co powinien pan wiedzieć, to że pańska rola w moim planie kończy się w tym miejscu.

Kapitan zrobił krok w jego stronę, kilku naszych uniosło broń na tak wyraźną groźbę.

- Daraela, Kurt - rzuciłem, ale niepotrzebnie. Moi strzelcy już unosili kusze.

Czarodziej spojrział na nas wzrokiem, którym kot może obserwować szczególnie zmyślną mysz i zaśmiał się cicho. Dziesiątki całkiem różnych chichotów jego zwielokrotnionego głosu zagrały pod sufitem komory.

- Proszę nie być dzieckiem, kapitanie Veth - powiedział spokojnie. - Nic wam nie grozi, a przynajmniej nic z mojej strony. Ale stanowczo sugeruję, by zabrał pan swoich ludzi i odszedł stąd jak najszybciej. Od teraz potrzebny tu jestem jedynie ja i moje... ofiary.

Z namysłem spojrział na ósemkę klęczących wokół niego Kruków.

- Ofiary? - warknęła Vexley.

Czarodziej spojrział na nią z zainteresowaniem.

- Oczywiście. Osłabiliśmy już wystarczająco bariery tego miejsca, żeby Ta, która ma nadejść, mogła przekroczyć wrota... Ale będzie słaba. Musi nabrać sił, zanim sięgnie po swoje dziedzictwo. Zgromadziłem tutaj tych, których wezwała. Reszta nie jest potrzebna ani naszemu zadaniu, ani mnie, ani jej. Nie musi zostawać.

- Wezwała - wymamrotałem cicho, przypominając sobie niewyraźną melodię, to co mówił o niej Cast, to, o czym wspominał Rasen i pozostali.

- Nie oddam ci moich ludzi.

Czarodziej uśmiechnął się upiornie, a ja nagle poczułem dziwne, miarowe drżenie powietrza, jakby przenoszące jakieś zupełnie niesłyszalne, rytmiczne dudnienie gdzieś z głębin.

- Kapitanie, już oddał mi pan swoich ludzi - powiedział mag, a każde jego słowo uderzało jak biczem.
- Wtedy, kiedy zgodził się pan na podanie im dekoktu. Wtedy, kiedy otwarł pan celę i kiedy był pan gotów zabijać w obronie rytuału. Oddał ich pan, ponieważ wiedział pan, jak ważna jest nasza sprawa i był pan gotów oddać za nią pańską kompanię. Teraz mówię panu, że nie potrzebuję ich wszystkich. Wystarczy tych ośmiu. Nie wiem jak pan, kapitanie, ale ja myślę, że to niska cena.

Milczeliśmy. Waga słów czarodzieja przygniatała nas jak skała ponad ciemnymi chodnikami zapomnianych kopalń. Świadomość, że Kruki zostały wplątane w przywołanie jakiegoś pradawnego demona, że nasz dowódca był gotów uczynić z nas ofiarę - i to wcale nie, jak myśleliśmy, opanowany przez magię Leara - była chyba jeszcze gorsza, niż myśl o czekających w celach stworach. I chyba Kapitan zrozumiał to również. Widzieliśmy to w jego wyrazie twarzy.

- Hagen - powiedział wreszcie cicho.

- Jestem - odpowiedział natychmiast dziesiętnik pierwszej.

- Zbierz wszystkich, zabierz rannych z góry. Niech zostawią wszystko poza żarciem i bronią. Wracamy do Algrath.

- Kapitanie...

- Natychmiast.

Hagen pokiwał szybko głową.

- Candor, Vexley i Otto - rzucił do nas swoim niemal zwykłym twardym i nieznoszącym sprzeciwu głosem. - Weźmiecie stąd wszystkich żołnierzy, spotykamy się przy wyłomie Jeśli nas nie będzie w ciągu pięciu minut, wychodźcie sami, dołączymy do was później.

Skinął na swoich ludzi i cała grupa wybiegła pędem na schody. Kapitan odprowadził ich wzrokiem, po czym spojrział znów na czarodzieja.

- Ta ósemka - powiedział cicho. - Oddaj mi ich. Niech to coś, cokolwiek przyzwałeś, nazre się na trupach.

Lord Lear spojrział na niego z mieszaniną rozbawienia i współczucia.

- Źle mnie pan zrozumiał kapitanie Veth - rzekł, a głębokie, odległe dudnienie, dochodzące gdzieś spod ziemi, zdawało się tak silne, że sprawiało, iż niemal drżałem. - Ich umysły już należą do Niej.

Ciała są... skorupą. Możesz spróbować ich zabrać, ale czy jesteś w stanie stawić czoła Jej pościgowi w imię ludzi, którzy już i tak nigdy się nie obudzą? Odejdź stąd, kapitanie, i zabierz swoje stado. Ratuj tych, których możesz.

Przez długi, długi czas Kapitan milczał. Kilka razy próbował coś powiedzieć, kilka razy jego wzrok błędził między nami, zabitymi Shav'nazem i Bykiem, a ósemką klęczących wokół płyty wrót żołnierzy.

- Zabierajmy się stąd - powiedział wreszcie. - Jak najszybciej.

- A Cast i pozostali...?

- Nie żyją - stwierdził, patrząc na mnie martwym wzrokiem. - Teraz ratujmy kompanię.

Chciałem się kłócić, ale Vexley złapała mnie za ramię i niemal niedostrzegalnym ruchem głowy wskazała na pozostałych. Na rannego Kurta i spokojną, nadal mierzącą wprost w czarodzieja Darealę. Na Cass, zaciskającą ręce na broni z zaciętym wyrazem mokrej od łez twarzy. Na Rasta wyglądającego jak przerażone zwierzę. Na Fabiana, który stał twardo przy Cass, spoglądając wściekle na czarodzieja.

Jeżeli był choć cień prawdy w tym, co mówił czarodziej, oni wszyscy - my wszyscy - mogliśmy wycofać się lub zginąć tutaj, nie osiągnąwszy nic. Spojrzałem na Kapitana przeciągle.

- Kruki - zawołałem cicho. Słowa z dużym trudem przechodziły mi przez gardło. - Zbierajmy się stąd.

Kiedy moi ludzie opuszczali broń, podszedłem tylko do Casta - nieruchomego, o nieobecnej, prawie martwej twarzy - i odpiąłem mu od pasa woreczek, w którym trzymał swoje drewniane figurki.

Prawie biegiem pokonaliśmy korytarz lochu, czując na sobie niewidzące spojrzenia dziesiątków czekających na polowanie stworów zamkniętych za słabnącymi barierami cel. Powietrze wokół nas dudniło, jakby wstrząsane przez odległe uderzenia grających gdzieś pod ziemią bębnow, a obce szmery i szelesty naciskały na nasze skronie. Tak szybko, jak pozwalała rana Kurta, pokonaliśmy schody ku pozostałym częściom strażnicy. Nikt nam nie przeszkadzał, żaden potwór nie wychynął z celi, żadne złe czary Leara w nas nie uderzyły. Był tylko bieg, zimno i ciemność wibrująca odległą muzyką.

Hagen i pozostała część kompani czekała na nas przy rozpadlinie w murze - tej samej, którą dostaliśmy się do wnętrza strażnicy. Rzucił już liny, a kilku ludzi pracowało przy opuszczaniu na nich rannych z lazaretu.

- Nie ma kuców - zameldował swoim potężnym głosem, teraz jakby dziwnym i pustym. - Zerwały więzi u uciekły, nie wiemy gdzie są. Możemy gonić, ale..

- Trzeba będzie iść piechotą - odparł natychmiast Kapitan.

- Tak jest - odparł Hagen spokojnie. - Dadzą radę.

Nasz dowódca spojrzał na sierżanta pierwszej dziesiątki i powoli skinął głową.

Jeden po drugim kolejne Kruki wychodziły z twierdzy, którą niedawno z takim trudem zdobyliśmy. Rannych opuszczaliśmy na noszach, ludzie Rasta zbiegli po ścianie, reszta zsuwała się po linach. Po kolei nasi żołnierze kierowali się na śnieżną połąć, ku bezpieczeństwu. Dziesiątka Vexley, ludzie Byka i Medalika, większość moich. Oddział Otta i pozostali z oddziału Rasta, którzy nie wzięli dekoktu czarodzieja. Reszta żołnierzy Benedykta. Szybko, z niepokojem oglądając się za siebie,

wśluchując w narastający rytm i wirującą w korytarzach pieśń.

Wreszcie na górze pozostaliśmy tylko ja, Kapitan, Hagen oraz odgradzający nas od ciemnego korytarza Ecce, Cass i Sachs Topornik. Dokładnie wtedy gdzieś z dołu, z trzewi krasnoludzkiej fortecy, rozległ się wydany jakby przez tysiąc gardeł nieludzki wrzask głodu i żądy krwi, zew polowania istot, których umysły nie miały nic wspólnego z naszym światem. A ponad nim cichszy, ale jakby po stokroć wyraźniejszy, śpiew kobiecego głosu, głosu tęsknego i pięknego tak, że miałem pewność, że jeśli dotrą do mnie w pełni jego słowa, nigdy nie będę już chciał opuścić tego miejsca. Kapitan szarpnął Cass i niemal siłą wepchnął jej linę w rękę.

- Ja na końcu - powiedziała kobieta w proteście.

- Nie - odparł Kapitan cicho. - Idziesz teraz. I...

Przez długą chwilę milczał.

- ... przepraszam Cass. Za wszystko.

Popchnął wojowniczkę i ta zjechała na linie na dół.

- Candor - zwrócił się dowódca do mnie, odwracając się na moment w stronę ciemnego korytarza. - Idźcie do Algrath, do miasta, pytajcie o nadsetnika Castora Permi. Pamiętasz, to ten oficer, który nas wynajął. On się wami zajmie. Mamy kontrakt, będzie go respektował.

- A pan?

Kapitan wymienił z Hagenem ponure spojrzenia.

- My nie idziemy.

- Dlaczego?

Kapitan westchnął, spojrzał na mnie, potem na czekające na dole Kruki.

- Chciałem zrobić coś dobrego - powiedział wreszcie. - Raz wziąć udział w słusznej bitwie. Pomóc Algrath. Ale nic z tego nie wyszło. Rozbiłem tylko Kruki, poświęciłem ich z premedytacją tej cholernej czarnej magii. Mój rozkaz zabił Shav'naza, zabiłem Byka...

Przez kilka oddechów jakby się nad czymś zastanawiał.

- Po prostu idź - odezwał się wreszcie. - I powiedz reszcie, że przepraszam.

Spojrzałem w zmęczone oczy dowódcy, w których nie było już dawnego błysku.

- Teraz jesteś pierwszym sierżantem. Spisz się lepiej niż ja. Zmiataj.

Hagen podszedł i nabrał powietrza, jakby chciał coś dodać, ale ostatecznie tylko klepnął mnie w ramię.

- Ecce, Sachs, do liny - ryknął.

W tunelach grała już obca muzyka, odbijała się od ścian zwiłokrotnionym echem, mieszała ze skrzekiem więzionych w tych murach istot.

- Za pozwoleniem, sierżancie - powiedziała wojowniczką, patrząc na niego bez emocji. - Tylko my mamy tarcze, bez tego to pan sierżant tu gównem utrzyma, a nie pozycję. Zostaniemy z panem.

Hagen spojrział na nią i na stojącego obok niej Sachsa Topornika i kiwnął głową.

- Dobra. Candor, wygląda na to, że jesteś ostatni.

Przez chwilę chciałem protestować, siłą pociągnąć ich na dół, wypchnąć przez szczelinę na dół, na śnieg. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na Kapitana i Hagenę, żebym wiedział, że to nie ma sensu. To miejsce już ich zabiło. Zabiło ich tak samo skutecznie, jak zamordowało Pradesha, Większego Laurenta, Casta, Moirę i wszystkich pozostałych. Zabiły ich decyzje, tajemnica i rozłam w kompanii. Kompanii, którą obaj zbudowali od podstaw i kochali jak własne dzieci. Śmierć Byka i Shav'naza. Łzy zdeorientowanej Cass.

Kiwnąłem więc tylko krótko.

- Jedno stado.

- Oby. Teraz to już zależy od ciebie - odparł Kapitan i podał mi linę.

Ostatni raz spojrziałem na stojącą w mroku czwórkę i zszedłem w dół, ku reszcie Kruków.

Szybko zostawiliśmy za plecami kanciastą sylwetkę krasnoludzkiej strażnicy i grające w jej podziemiach głosy. Szliśmy najprędzej, jak tylko pozwalali nam ranni, sprzęt i wąska ścieżka.

Za nami ciemna chmura stopniowo pożerała ośnieżone szczyty Gór Barrierowych, połykała kolejne skalne granie i pędziła czarną, oleistą falą w doliny, w stronę wiosek zbudowanych w cieniu gór i przełęczy. I w stronę obozu niczego niespodziewających się Vidyjczyków.

Wiedziałem, że po raz ostatni widzę ostre kontury gór i że nigdy już nie przejdziemy na ich drugą stronę. Pasma będzie miało nową władczynię, nieprzeniknioną, żarłoczną i wieczną, przebudzoną ofiarą - Kruczej Kompanii i czarodzieja znanego nam pod imieniem Lord Lear.

My odchodziliśmy z tego nowego, przerażającego pogranicza, pozostawiając je ciemności i unoszącej się ponad nią obcą, niezrozumiałą pieśnią.

Michał Cholewa